

Zdzisław Koziol

DYSKUSJI O OŚWIACENIACH PRZEWODNIA

Ważna konferencja polityczna, przemawia dyrektor naczelny jednego z największych przedsiębiorstw przemysłowych województwa; mówiąc o kadrach stwierdza, że jego obchodzą sprawy produkcji, szkoleniem natomiast niech się zajmie kto inny. Nie cytuję tej wypowiedzi ze stenogramu, więc za ściśnięcie nie ręczę, ale taki właśnie był sens dyrektorskiej deklaracji. I pozornie dyrektor ma rację, bo fabryka jest po to, by produkować, jednak tego rodzaju postawa budzi poważny sprzeciw. Z myślą o produkcji w tymże przedsiębiorstwie zlikwidowano przed laty stolówkę, zamieniając ją w bardzo potrzebną zakładowi placówkę badawczą. Dając priorytet produkcji nie zatroszczono się o zakładowy ośrodek zdrowia, po macoszemu potraktowano też rozległą problematykę organizacji wypoczynku. Te przykłady nie wyczerpują listy skutków technokratycznego podejścia do wielu zagadnień społecznych, które pośrednio mają przecież istotne znaczenie dla produkcji. Technokratyzm w naszych warunkach polega na niedocenianiu społecznych funkcji przedsiębiorstwa przemysłowego, ale nie o technokratyzmie zamierzam dziś pisać, lecz o niektórych sprawach szkolnictwa w świetle decyzji V Zjazdu partii.

Czy wobec tego uzasadniony jest powyższy wstęp? Sądzę, że tak. Przypomnijmy sobie dyskusję przedzjazdową, w której, w związku z wypadkami marcowymi, oświacie i wychowaniu poświęcono szcze-

gólnie dużo uwagi. Zgłaszano postulaty dotyczące generalnie wychowania ideowego, po nowemu stawiając kwestię wychowania patriotycznego; zgłaszano też postulaty szczegółowe, które przekazywano zainteresowanym instytucjom lub lokalnym organom władzy. Nicią przewodnią tej dyskusji była myśl o ściślej powiązaniu systemu oświaty z rozwojem gospodarki i kultury narodowej, o odpowiedzialności całego społeczeństwa za wychowanie młodego pokolenia. Słowem, chodziło o wyższą jakość pracy szkół i placówek wychowawczych.

Jakie są efekty tej dyskusji? W jakim zakresie już zrealizowano długą listę wniosków oraz syntetycznie ujęte zadania w uchwałach Zjazdu. By uniknąć ogólnikowych stwierdzeń ograniczę się tylko do niektórych spraw. Po wstępnym zdaniu, mówiącym o potrzebie podniesienia jakości pracy szkół, uchwała precyzuje zadania konkretne. Pierwszym z nich jest doniesienie decyzja o objęciu w 1975 roku dalszym nauczaniem 90 proc. absolwentów szkół podstawowych. Na drugim miejscu uchwała wymienia szkoły zawodowe w ogóle, na trzecim zaś szkoły przyzakładowe, które poleca się szczególnie troszczyć.

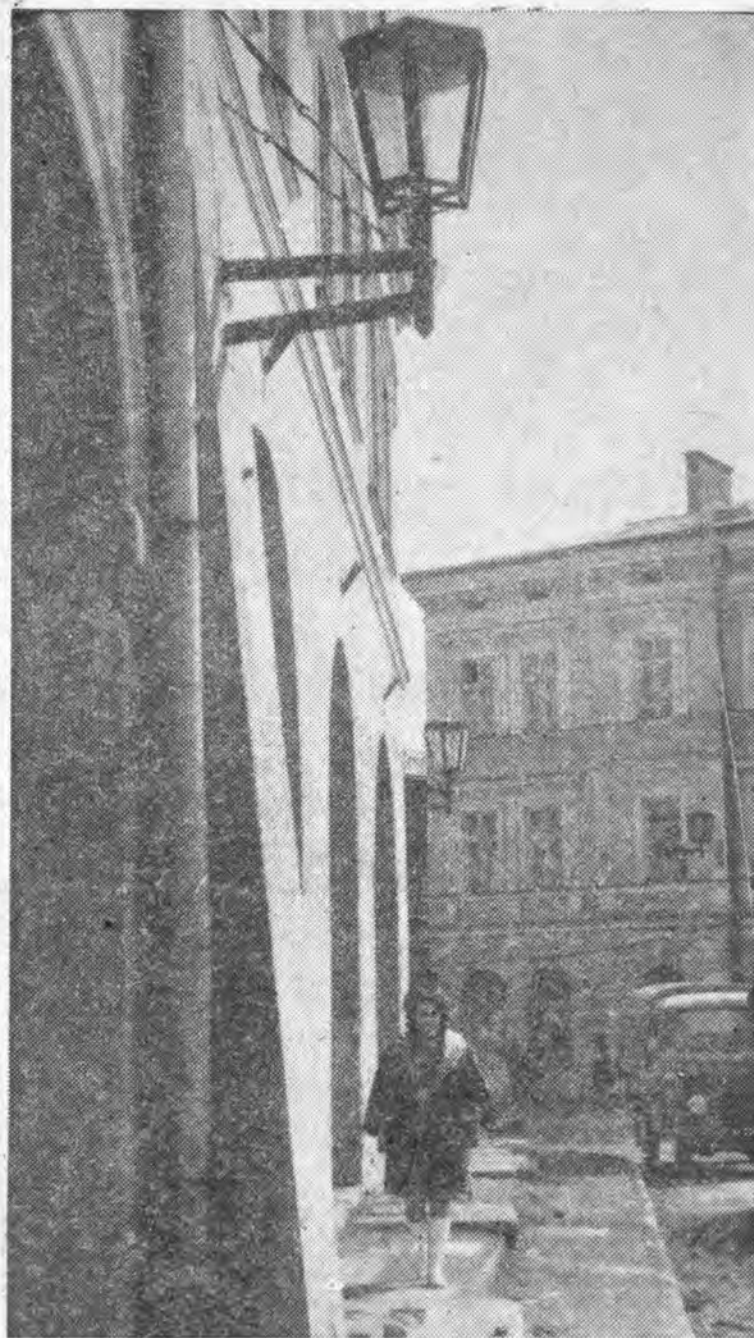
Wspomnę jeszcze o jednej kwestii, symptomatycznej dla ostatniego Zjazdu; sporo mówiono o konieczności równomiernego rozwoju całego kraju, co praktycznie oznacza przyspieszenie rozwoju regionów w mniejszym lub większym stopniu zaniedbanych.

Zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że na V Zjeździe doszedł do głosu, jeśli można użyć takiego określenia, twórca regionalizm. Dalsze uwagi ograniczę więc do spraw regionalnych.

Wspominałem, że w roku 1975 dalszą nauką ma być objętych 90 proc. absolwentów szkół podstawowych. Teoretycznie rzecz biorąc za rok może w Rzeszowskim podjąć naukę 97,8 proc. ósmoklasistów, ale trochę miejsc trzeba zarezerwować dla repetujących klasy pierwsze szkół średnich i zawodowych; o przyjęcie będą się także ubiegać absolwenci z lat ubiegłych. Nauki nie podejmie więc 97,8 proc. ósmoklasistów, trochę mniej, ale upowszechnienie szkoły ponadpodstawowej jest już w Rzeszowskim zaawansowane, co rodzi nie mało kłopotów, bo niejedną z nich poszukuje uczniów w ogóle lub uczniów szczególnie uzdolnionych. Nadmienię, że jest przygotowywana uchwała Prez. WRN o obowiązku podjęcia nauki przez tzw. wolną młodzież w wieku do 18 roku życia (obowiązkowi temu ma podlegać młodzież, jeśli nie we wszystkich miastach powiatowych to przynajmniej w większych).

Kurator okręgu szkolnego, mgr Kazimierz Żmudka, zachęcał mnie do podjęcia tematu: możliwości i skutki upowszechnienia szkoły średniej. Temat rzeczywiście ciekawy, ale wymaga wnikliwych badań, a na początek przynajmniej sondaży, których wyniki pomogłyby podejmować trafne decyzje. Jedno jest pewne. Dzieło doskonalenia systemu edukacji narodowej trzeba rozpocząć od szkoły podstawowej, bo ona — powtórzę prawdę znaną, choć

(Ciąg dalszy na str. 2)



JAROSŁAW.

Fot. M. KOPEĆ

Ryszard Dzieszyński

EWUNIA

Jadąc szosą z Tarnowa do Pilzna, można ujrzyć w połowie drogi stęp z napisem, informującym, że tędy przebiega granica między województwem krakowskim i rzeszowskim. Ujechawszy jeszcze kilka minut, mijamy pierwszą „przygraniczną” wioskę: Machowe.

Wśród zieleni i zabudowań wioski widać kościół parafialny. Spoglądamy obojętnie; ile to podobnych wiejskich kościółków spotykaliśmy na tej drodze! Ale nagle natchodził nas refleksja: przecież to tutaj jest pochowana Ewa Henrietta Ankiewicz, włoska sympatia Adama Mickiewicza! Zwracamy.

Ewa Henrietta Ankiewiczówna związana jest z Rzeszowszczyzną mocnymi więzami. Tutaj urodziła się i mieszkała, tutaj zawsze wracała po peregrinacjach po stolicach państw europejskich, tutaj umarła i tu wreszcie spoczęły jej zwłoki.

Urodziła się w 1810 roku w Machowej, w starej rodzinie szlacheckiej, uhonorowanej przez austriackiego cesarza tytułem hrabiowskim. W 1827 roku wyjechała wraz z rodzicami do Italii. Watła jedynaczką była przedmiotem ich bezustannej troski. Dla poratowania zdrowia musiała znaleźć się w kraju o łagodniejszym klimacie. Oto szlak podróży Ankiewiczów: Piza, Florencja, Livorno, Rzym, Elba, Korsyka. Ankiewiczówna obdarzona bogatą wyobraźnią, wybujałą fantazją, oraz wrodzonym zmysłem artystycznym, chłonęła widoki pięknych włoskich pejzaży, oraz cudów renesansowej architektury, a także rozpamiętywała spotkania z wybitnymi ludźmi epoki. W Livorno poznała Lamartine’a, który mieszkał w willi obok Ankiewiczów. Wielki poeta był bardzo wyniosły i nieprzystępny. Miał żonę Angielkę, zakochaną w nim do szaleństwa, oraz córeczkę Julię, z

którą Ewa bardzo lubiła się bawić. W Rzymie, w loży teatralnej została przedstawiona Chateaubriandowi, którego utworami zachwyciła się. Ale sam autor wywarł na niej wrażenie niekorzystne, był zarozumiały i nadęty.

W chwilach wolnych od wojaży i spotkań z wielkimi ludźmi Ewa brała lekcje historii i historii sztuki u wybitnego archeologa prof. Viscontiego. Dużo czytała, robiła wyciągi z książek, które ją zainteresowały. Ponadto prowadziła dziennik, pisząc w nim raz po francusku, raz po angielsku, a najrzadziej po polsku.

28 listopada 1829 roku na balu u księcia Gagarina w Rzymie hrabia Ankiewicz zaprzagnął być przedstawiony Mickiewiczowi i Odyńcowi. Mickiewicz był już wtedy sławny, przyjmowano go w najlepszym towarzystwie rzymskim. Hrabia był ciekaw tego człowieka, o którym tyle słyszał. Ankiewicz należał do ludzi interesujących się sprawami kultury. Zajmował się amatorsko literaturą, sztuką i archeologią, oraz należał do Towarzystwa Naukowego Krakowskiego. Zaprosił obu przyjaciół na drugi dzień do swego pałacu na Via Mercede, ale Mickiewicz nie przyszedł, ponieważ bolała go zęby. Zjawił się natomiast przy obiedzie wdał się z

hrabią w gorącą dyskusję. Przeciwnie ona znacznie, a potem zaczął padać deszcz i Mickiewicz został na kolacji. Po kolacji poprosił Ewę, aby zagrała na fortepianie. Ewa była bardzo rozumielna, ale jej gra podobała się Mickiewiczowi, który wpadł w doskonały humor. Panie zaczęły go zapraszać, aby odwiedził ich dom wcześniej i ofiarowały się oprowadzać go po Rzymie.

Od tej pory Mickiewicz i Odyńciec stali się częstymi bywalcami w salonie Ankiewiczów. Mickiewicz zaczął interesować się Ewą, a Odyńciec — Marceliną. Była to kuzynka Ankiewiczówny, zabrana do Italii dla towarzystwa Ewy. Wkrótce Ewa zaczęła pisać o Mickiewiczowi w swym dzienniku „my beloved” czyli „mój ukochany”, ale bała się go, i sadząc, że ma o niej opinię, jako o stworzeniu niemądrego i pustym — milczała w jego obecności, nie biorąc udziału w dyskusjach. Mickiewicz widząc nieśmiałość Ewy, prosił ją, aby grała na fortepianie i zachwycał się jej grą, co wyraźnie poprawiało jej samopoczucie. Wreszcie Ewa zaczęła z nim rozmawiać. Wypytywała go o szczegóły z biografii i była zazdrośna o Maryle Wereszczakównę, którą często wspominała. Obaj przyjaciele zostali zaproszeni przez Ankiewicz na wigi-

lię. Tam kilkakrotnie padały aluzje na temat skojarzenia Adama z Ewą w małżeńskie stado. Mickiewicz widząc, że Ewa ma słabe pojęcie o literaturze polskiej, przynosił jej utwory poetów narodowych i czytał na głos. Jego przyjaciółka księżna Zenaida Wołkońska podjęła się przetłumaczyć „Konrada Wallenroda” na język francuski. Poeta robił korektę tłumaczeń i dawał Ewie do przepisywania. Z nastaniem karnawału Mickiewicz i Ewa, oraz Odyńciec z Marceliną zaczęli chodzić na balę, ale Ewa nie tańczyła, z względu na wadę zdrowie, a Marcelina — z powodu przesadnej pobożności. Zabiegi Odyńcy okazały się bezskuteczne, bo wstąpiła ona później do klasztoru.

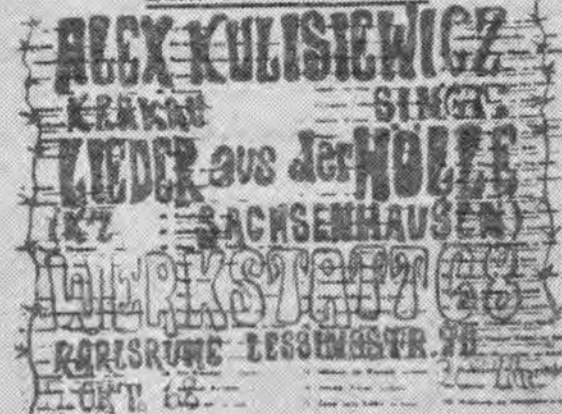
Na wiosnę całe towarzystwo wyruszyło na wycieczki w okolice Rzymu.

Cała ta sielanka trwała 10 tygodni, ale z wolna zaczęła przeżywać swój zmierzch. Poeta doszedł do wniosku, że Ankiewicz nie da mu córki za żonę. Uprzejmość hrabiego przemieniła się z wolna w niechęć. Nie chciał wszakże zrywać stosunków z człowiekiem

BEKANNTMACHUNG

Wojewódzki Urząd Wojewódzki w Warszawie, ul. Chałubińskiego 10, Warszawa, dnia 29.12.1944, kom. Standoch des Kommandeurs der Sicherheitspolizei und des SO für den Distrikt Radom

zum Tode verurteilt:



... (small, illegible text) ...
Der H. und Polizeibehörde
in Radom

Pieśni — dokument epoki

NOTTURNO 1941

Sławię was ptaki, żeglarze śmiiali,
wiem — omijacie wykłety padół...
... Na czarnym niebie, czarne anioły,
czarnymi skrzydły trzepocą: zabił!

I nawet księżyc od dymu czarny,
gwiazdy zalekłe litością blade —
nie ma nadziei, płacz każdy marny,
wisielczą wyje wiatr serenadę...

Ptaki—żeglarze, ptaki słyszye!
serce mi dudni, dudni w pasiakach!
Pięści mam wściekle i wargi młode —
Sycone gorzkiem przekleństwa miłodem!
(Muzyka i słowa — Aleksander Kulisiewicz — 1941 r.)

Oto jeden z utworów człowieka, który zaciągnął dług wdzięczności wobec pieśni gorzkiej, tragicznej, ale pięknej, jaka pozwoliła jemu i setkom tysięcy więźniów obozów koncentracyjnych zachować to co najcenniejsze — godność ludzką, siebie, człowieczeństwo!

Na zaproszenie Wojewódzkiego Domu Kultury i Zarządu Wojewódzkiego Związku Bojowników o Wolność i Demokrację w Rzeszowie dziś, w sobotę, 22 marca br., śpiewać będzie w „Turkusie” bard kz — tow. Aleksander Kulisiewicz.

Mija 25 lat od czasu, gdy ludzie szkielety w pasiakach, ludzie-numery otworzyli bramy „piekieł dna” ku normalnemu życiu, powracali do rodziny człowieczej.

W owych dniach Aleksander Kulisiewicz, dwudziestoparoletni człowiek był nieomal całkowicie niewidomy, na skutek eksperymentów „medycznych” przeprowadzanych na nim z dyfterytem i osłabieniu po oddaniu krwi dla ratowania współtowarzyszy z obozu. Będąc swą ślepotą odizolowany „od świata”, pierwsze tygodnie wolności spędził dyktując zapamiętane pieśni obozowe. W ten sposób powstał tom liczący 700 stron maszynopisu. Pieśni oryginalne dyktował w 4 językach. Dziś jego zbiór poezji i pieśni zawarty jest na 5 700 stronach maszynopisu. Utwory pochodzą z 37 obozów koncentracyjnych, zagłady i podobozów hitlerowskich rozsiąanych po różnych krajach podbitej Europy. W zbiorze tym 1 700 stron maszynopisu zawiera twórczość poetkzyn kobiet więźniarek z Ravensbrueck.

W czasie dzisiejszego „Wieczoru pieśni obozowych”, który jest drugim publicznym występem pieśniarza w Polsce, śpiewać on będzie najbardziej reprezentatywne pieśni i piosenki dla tej twórczości.

Usłyszycie sławny „Chorał z piekła dna” powstały w 1942 r. Napisał go 23-letni wówczas więzień Sachsenhausen, warszawski dziennikarz Leonard Krasnodebski „asystujący” przy eksper-

mentach. Muzyka A. Kulisiewicza powstała w 1944 r. w rękach śmierci autora tekstu.

„Kofysankę dla synka w krematorium” napisał tragarz trupów w Treblince. Autorem „Hekatomby” był 17-letni Aleksiej Sasanow, jeden z 18 tysięcy jeńców radzieckich zagazowanych w listopadzie 1941 r. w tym obozie. Jeszcze przed śmiercią usłyszał „Hekatombę” po polsku śpiewaną przez Kulisiewicza.

Recital piosenki strasznej — dokument epoki pieców krematoryjnych i snów o potęgde, niezwykłości nadludzi spod znaku swastyki jest mementem. W dniu 31 grudnia br. w Niemieckiej Republice Federalnej ma wejść w życie dekret darujący zbrodniarzom wojennym przestępstwa, wbrew konwencji Organizacji Narodów Zjednoczonych o nieprzedawnianiu ścigania zbrodniarzy winnych przestępstw wojennych przeciw ludzkości i ludobójstwa.

MARIA C. GUZIOŁEK

Wystawa plastyków mieleckich

W Zakładowym Domu Kultury WSK w Mielcu zorganizowano wystawę prac członków koła miłośników sztuki plastycznej ZDK. Wystawa obejmowała 40 prac Henryka Momota, Tadeusza Przywary, Bolesława Szczurka, Anny Osiniak i Jana Drewsa z zakresu malarstwa i grafiki.

Wszyscy autorzy ekspozycyjnych prac zgłosili udział w konkursie plastycznym „Człowiek i praca w Polsce Ludowej”, zorganizowanym w ramach imprez 25-lecia PRL.

(j. w.)

Dyskusji o oświacie nic przewodnia

(Ciąg dalszy ze str. 1)

nie zawsze uwzględnianą w dyskusjach o poziomie nauczania w szkole średniej i wyższej — decyduje o przygotowaniu do kontynuowania nauki.

Dużym osiągnięciem jest to, że nauka w pełnych szkołach 8-klasowych objęto w Rzeszowskim 96 proc. uczniów; właściwie każde dziecko ma zapewniony dostęp do szkoły w miejscu zamieszkania lub w jego pobliżu, a dla tych, które mieszkają w odległościach większych niż określa to ustawa, zorganizowano internaty. Teoretycznie każde więc dziecko może ukończyć szkołę 8-klasową i ubiegać się o przyjęcie do liceum, technikum czy różnych typów zasadniczych szkół zawodowych. Lecz poprzestanie na takim stwierdzeniu oznaczałoby skrywanie za parawanem statystyki istotnych mankamentów, oznaczałoby rezygnację z troski o zapewnienie całej młodzieży jednakowych, a przynajmniej zbliżonych szans przy ubieganiu się o przyjęcie do szkół, wymagających od kandydatów gruntownego przygotowania.

To prawda, że mamy dobrą sieć szkół podstawowych, ale w 85 szkołach 8-klasowych nie ma ani jednego specjalisty do najważniejszych przedmiotów. Te szkoły są tylko z sztytu zreformowanymi, 8-klasowymi. W dziedzinie niejedną z nich, np. w pewnej miejscowości górskiej, liczącej nieco powyżej 40 numerów: szkoła 8-klasowa mieści się w starej ruderze, w bibliotece nie doliczyłem się 200 książek, przy czym brakuje lektur zalecanych nowym programem nauczania języka polskiego w starszych klasach. Pomoc naukowa do biologii: kościotrup, model ucha i kilka naciętych motyli; do pewnych partii fizyki w ogóle nie ma pomocy naukowych, zresztą po co, skoro brak prądu elektrycznego uniemożliwia ich zastosowanie. Tylko jedna absolwentka tej szkoły, córka znajomego szerokiego światła osadnika, ukończyła liceum i podjęła studia. Znam zresztą wioski, z których nikt jeszcze nie trafił do szkoły wyższej; w najbiedszym przypadku młodzież idzie do zasadniczych szkół zawodowych lub po osiągnięciu pełnoletniości zasilą szeregi niekwalifikowanych robotników, na których zapotrzebowanie ustawicznie maleje. Szerzej zagadnienie to, na przykładzie Bieszczadów, omówiłem w artykule opublikowanym w ostatnim numerze „Profilmów”, wspomnę tylko, że zachodzi ścisła współzależność między rozwojem gospodarczym danego regionu a stanem szkolnictwa, przy czym szkolnictwo jest ważnym czynnikiem wpływającym na tempo przeobrażeń. Przecież np. skąpa sieć szkół średnich w Bieszczadach powoduje ucieczkę młodzieży, głównie męskiej, z tych niedoludnionych gór. Uwzględnijmy i to, że brak szkół nie zachęca do osiedlania się w górach, zwłaszcza tych, którzy mają ambicje kształcenia swych dzieci.

Przykłady można zresztą mnożyć. W trosce o lepsze przygotowywanie nauczycieli Zjazd podjął decyzję o stopniowym przekształcaniu 2-letnich studiów nauczycielskich w 3-letnie wyższe szkoły nauczycielskie. Decyzja ta będzie owocować dopiero za parę lat, a doskonalenie kadr nauczycielskich jest już dziś pilnym zadaniem. Myśli się więc w Rzeszowie o utworzeniu ośrodka doskonalenia kadr, by każdy nauczyciel przynajmniej co pięć lat mógł w nim odświeżyć swoją wiedzę, by nie poprzestawał na tym, czego nie zdążył zapamiętać z lat studiów.

Drugi podstawowy warunek dobrej pracy szkoły — baza materialna, a więc obiekty, wyposażenie w odpowiedni sprzęt i pomoce naukowe etc., etc. Wątku tego rozwijał nie będę, podam tylko, że wskaźnik zmianowości w szkołach podstawowych Rzeszowszczyzny wynosi 1,62, jest więc wyższy niż w Krakowie i woj. krakowskim, w Łodzi, Bydgoskim, Katowickim, Lubelskim i kilku innych województwach. Wskaźnik ten jest

też wyższy od średniej krajowej, która wynosi 1,60. I jeszcze jedna cyfra: według obliczeń Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego zaspokojenie potrzeb inwestycyjnych szkolnictwa podstawowego w Rzeszowskim wymaga po roku 1970 kwoty przeszło 1,35 mld zł.

A teraz przejdźmy do innego, pozornie marginesowego zagadnienia, o którym ex plicite nie mówi się w uchwale Zjazdu partii, ale mając na uwadze, że tak się wyraża jej duch, nie można tej sprawy pominąć. Chodzi o młodzież upośledzoną umysłowo i fizycznie oraz o młodzież wymagającą specjalnej troski, w tym tzw. sieroty społeczne, a więc dzieci z rodzin rozbitych, sklóconych, nie mówiąc już o faktycznych sierotach, których też jest nie mało. Nie jest to zresztą problem nowy, ale z różnych przyczyn nie nadano mu należytej rangi społecznej. Zilustruję to następującym przykładem: w 10 powiatach Rzeszowszczyzny nie ma domów dziecka, a to dlatego, że ich... nie zbudowano, bo środki inwestycyjne przeznaczano dla szkolnictwa; budując szkołę zaspokajano potrzeby jakiejś miejscowości, natomiast dom dziecka potrzebny jest jednostkom rozproszonym po całym powiecie, a więc nie mającym swego rzecznika. Ponadto domy dziecka mocno obciążają budżet lokalnych władz oświatowych; mówił mi wicekurator, mgr Stanisław Grabowski, że w Rzeszowskim usamodzielnia się rocznie około 100 wychowanków domów dziecka, którzy zdobyli już wykształcenie, zawód. Jeśli wychowanek przebywał w tej placówce od wczesnego dzieciństwa do osiągnięcia pełnoletniości to państwo wydawało na niego 250 tys. zł, nie licząc kosztów inwestycyjnych (jedno miejsce w nowo budowanym domu dziecka kosztuje 55 tys. zł).

Chyba jeszcze bardziej nabrzmiała jest sprawa szkół specjalnych, do których kwalifikuje się podobno 2 proc. dzieci; inni specjaliści uważają ten wskaźnik za zaniżony, ale zgodni twierdzą, że narasta problem młodzieży upośledzonej. Przyjmując nawet wspomniane 2 proc., to w Rzeszowskim, w liczbach bezwzględnych, mamy około 6 tys. dzieci wymagających skierowania do szkół specjalnych, których jest zbyt mało. Uczęszczają więc do szkół normalnych, nie mogą rzecz jasna podjąć obowiązków; przysparzają kłopotów wychowawczych; repetują, często nie kończą szkoły, co nie pozwala później na podjęcie pracy zawodowej. Te jednostkowe tragedie, których skutki odczuwają chyba tylko bezpośrednio zainteresowani, też przez długie lata nie doczekały się rangi społecznego problemu i dlatego zadania w tym zakresie są mocno spiętrzone. Czy najbliższe lata przyniosą widoczny postęp? M. in. w Rzeszowie powstanie duży ośrodek tego typu, ale zdaniem Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego pełne zaspokojenie potrzeb naszego regionu wymaga inwestycji za sumę 31,9 mln zł, natomiast według obliczeń Kuratorium konieczna jest kwota 140 mln zł.

Do przewidywanych potrzeb inwestycyjnych szkolnictwa jeszcze powrócę, teraz natomiast kilka uwag o kolejnym zadaniu w zakresie oświaty wytyczonym w uchwale Zjazdu Partii, bezpośrednio wynikającym z zadania pierwszoplanowego, jakim jest upowszechnienie szkolnictwa ponadpodstawowego. Chodzi o szkoły zawodowe, które stają się dominującym typem szkół; wkrótce trzy czwarte młodych obywateli będzie posiadać wykształcenie zawodowe. Nie będę się wdawał w spekulacje na temat społecznych następstw tego zjawiska, gdyż interesują mnie sprawy raczej prozaiczne. Na wstępie pisałem o dyrektorze, który nie chce podjąć wysiłków zmierzających do szkolenia kadr; mówił on sporo o zadaniach wynikających z uchwał Zjazdu Partii, lecz zignorował obojętnie przedsięwzięcia w zakresie rozwoju szkolnictwa przykładowego, jednego z ważniejszych kanałów zasila-

jących przemysł w robotników kwalifikowanych.

Uchwała mówi o konieczności stałego polepszania warunków lokalowych i stanu wyposażenia tych szkół. Dużo już w tej dziedzinie zrobiono, np. wzorową szkołę ma Łańcucka Fabryka Śrub czy Rzeszowskie Zjednoczenie Budownictwa, odrobina dawne zaniechania tarnobrzeska „siarka” budując obiekt szkolny; wspólnie z władzami oświatowymi wnoszą obiekty Zakłady Mechaniczne w Nowej Dębicy i WSK w Dębicy. Jednak miarą zaniechań jest nadal brak własnych lokali; 17 szkół dysponuje łącznie 34 pomieszczeniami do nauki, w tym szkoła Zjednoczenia Budowlanego ma 22 pomieszczenia; wiele z nich nie ma więc ani jednego. Nie ma szkoły przykładowej z prawdziwego zdarzenia rzeszowska WSK, jasielski „Gamrat” czy mielecka WSK, której dyrektorka czyni jednak starania w zjednoczeniu o przyznanie limitów inwestycyjnych.

Trzeba więc jeszcze raz podkreślić, że uchwała Zjazdu poleca te szkoły szczególnej trosce; chodzi zwłaszcza o lokale, wyposażenie i internaty. Wspomnę, że kierownictwa budowanych obecnie przedsiębiorstw, zakładów szkła optycznego w Rzeszowie, dziewiarskich w Jarosławiu i włókien powlekanych w Przemysłu, w trosce o pozyskanie w przyszłości wykwalifikowanej załogi już teraz, wspólnie z władzami oświatowymi planują zorganizowanie odpowiednich szkół, co dla obu partnerów nie będzie przedsięwzięciem łatwym, lecz w porę podjęte starania rokują powodzenie. (N. b. zakłady te w dużej mierze rozwiążą problem zatrudnienia kobiet, a szkoły — problem kształcenia dziewcząt). Dlaczego więc w niejednym już okrzepłym przedsiębiorstwie, dysponującym kadrą i odpowiednim zapleczem do nauki, zawodu, rezygnuje się z wysiłku na rzecz utworzenia szkoły z prawdziwego zdarzenia, które zresztą nie tylko szkołą robotników w danej specjalności, lecz spełniają również ważną rolę społeczną. Do uchwały Zjazdu trzeba częściej zaglądać.

* Uwagi powyższe dotyczą tylko niektórych zadań szkolnictwa, a lektura uchwały Zjazdu skłania do zajęcia się jeszcze innymi zagadnieniami, przede wszystkim zaś rozległą problematyką wychowawczą, koniecznością umocnienia społecznego frontu wychowawczego. O tym innym razem, a na zakończenie podkreślę, że sprawy, o których pisałem wymagają dużego wysiłku, w tym także nakładów finansowych. Podaję zresztą kilka cyfr, a ta, którą za chwilę wymienię może przyprowadzić o zawrót głowy; według wspomnianych już szacunków Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego zaspokojenie potrzeb inwestycyjnych szkolnictwa w Rzeszowskim wymaga po roku 1970 nakładów w wysokości 2 543,5 mln zł. Zdaniem Kuratorium dla niektórych działów szacunek ten jest zaniżony. Przymownie, że nakłady inwestycyjne w naszym szkolnictwie wyniosły w ubiegłej 5-lacie przeszło miliard złotych (środki państwowe, społeczne i fundusze na popieranie czynów społecznych), w obecnym zaś 5-leciu planuje się wydatki na ten cel 800 mln zł, ale nie jest wykluczone, że kwota ta będzie zmniejszona. Inaczej mówiąc pełne zaspokojenie potrzeb jest kwestią kilkunastu lat, ale sens perspektywicznego planowania polega na tym, że ukazuje czekające zadania, co ułatwia mobilizowanie wszystkich sił dla ich urzeczywistnienia.

Rozmowy „Widnokregu”

„TWARDY CHIRURG” ...

... Z DR Z. TELESZYŃSKIM

Przed miesiącem tygodnik „Polityka” ogłosił wyniki konkursu na pamiętniki chirurgów. Konkurs ten rozpisany przed niespełna dwoma laty spotkał się z szerokim zainteresowaniem ze strony „ludzi w bieli”. Przyniósł on osobisty sukces dr med. Zdzisławowi Teleszyńskiemu — dyrektorowi Szpitala Wojewódzkiego w Rzeszowie. Jego pracy opatrzonej godłem „Optymista” przyznana została jedna z dwu równorzędnych, najwyższych nagród. Fragment frapujących, z dużym talentem napisanych wspomnień „twardego chirurga” drukowała „Polityka”.

W kilka dni po rozstrzygnięciu konkursu złożyliśmy dr Teleszyńskiemu gratulacyjną wizytę, korzystając z okazji z możliwości zadania mu kilku pytań dotyczących problemów, dla których... brakło miejsca w publikowanym fragmencie pamiętnika.

— Muszę się przyznać, że nagroda spadła na mnie zupełnie nieoczekiwanie. Pamiętnik napisałem dość dawno i do tej pory zdążyłem przestać interesować się jego losem. Prawdę mówiąc, konkurs „Polityki” nie był bynajmniej moim debiutem. W ostatnich latach moje wspomnienia wojenne wysyłałem na konkurs organizowany przez MON; zresztą bez powodzenia. Osobiste wrażenia z pracy w Koźlu otrzymały wyróżnienie w konkursie „Służby Zdrowia”, a ich fragmenty zawarte są w zbiorze „Lekarze przemysłowi”.

— Jak z tego widać, operuje Pan piórem nie gorzej niż lancetem; skąd to zacięcie?

— W szkole średniej, przed wojną próbowałem, jak to zawsze czynią gimnazjaliści, pisać wiersze. Podczas studiów na Uniwersytecie Edyńskim dostarczałem tekstów studenckiemu teatrykowi. Po powrocie do kraju zająłem się „robieniem” satyrycznych tekstów dla zespołów amatorskich służby zdrowia. W klubie działającym przy naszym rzeszowskim szpitalu istnieje „kabaret starszych pań”. Szopki satyryczne, monologi, skecze — układają sami pracownicy szpitala. Nie są to z pewnością „wielkie rzeczy”, ale nie mogę sobie odmówić tego swoistego relaksu. Co do pamiętników, być może impulsem były dla mnie oświeceniowskie przeżycia ojca, spisane przez niego, a które stanowią rodzinną pamiątkę.

— Ma Pan na koncie także pokazy dorobek naukowy...

— Począwszy od rozprawy do-

ktorskiej jest to przeważnie plon moich praktycznych doświadczeń i dociekań. Wśród 40 opublikowanych w periodykach medycznych, na uwagę zasługują prace traktujące o wynikach leczenia następstw choroby Heinego-Medina, choroby Perthes'a, a także o rezultatach leczenia zwichnięć stawów. Interesuję się również historią medycyny i z tej dziedziny powstało również kilka pozycji.

— Pamiętnik sięga do 1964 roku, okresu, kiedy zaczyna się rzeszowski etap w Pańskiej działalności. Co składa się na tę nie napisaną część wspomnień?

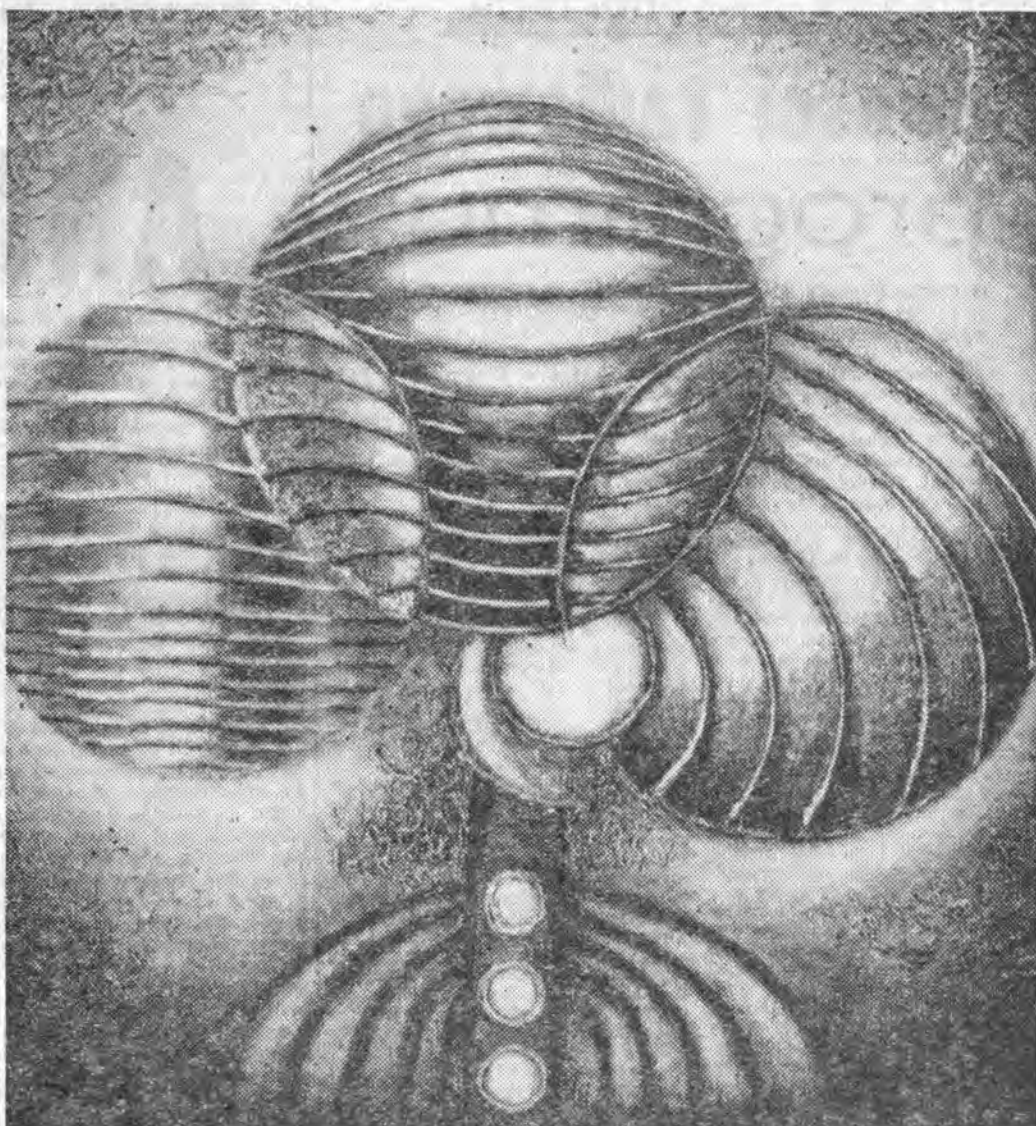
— Rzecz jasna, ta część jest chyba uboższa w wydarzenia typowe dla pionierskiej części mojej kariery chirurga. „Dyrektoruję” Szpitalowi Wojewódzkiemu od pięciu lat i cieszę się, że już niebawem zakończymy jego generalną rozbudowę. Aby nie wcielić się zupełnie w rolę administratora, praktykuję w Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego. Kieruję tam oddziałem urazowym, gdzie oprócz zwykłych dla tego rodzaju placówki kontuzji, nowoczesnymi metodami leczymy pacjentów z gościnnym przewlekłym postępującym. Rzecz godna uwagi o tyle, że z leczeniem tej choroby parają się wyłącznie kliniki i Instytut Reumatologii. Gwoli ścisłości, nie dla przechwałki dodam, że zespół nasz posiada tytuł Oddziału Pracy Socjalistycznej.

W telegraficznym skrócie jeszcze o zajęciach społecznych. Przez 3 kadencje uczestniczę w pracach zespołu socjalnego KW PZPR, gdzie jak nie trudno się domyśleć, problemy służby zdrowia frapują mnie dość mocno. Rzeszowski zarząd oddziału Polskiego Towarzystwa Lekarskiego ma we mnie prezesa. Czy dobrze? Ocena należy do członków. Najmniej czasu poświęcam działalności na niwie sportowej, chociaż za czasów studenckich i wtedy, gdy mieszkalem na Śląsku z powodzeniem uprawiałem siatkówkę i koszykówkę. Stąd mój sentyment do AZS, w którym wybrano mnie na członka zarządu.

— Podejmując pracę w Rzeszowie wrócił Pan w rodzinne strony...

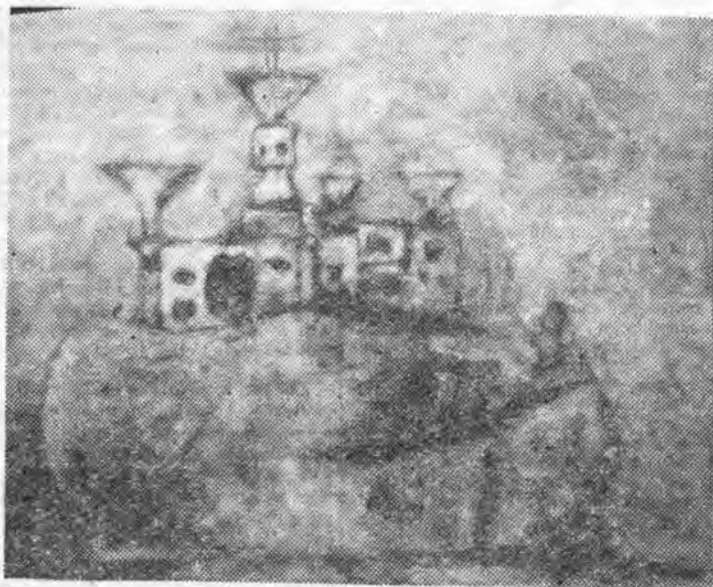
— Urodziłem się w Zagórzcu, w pow. sanockim. W 1921 roku wyjechałem wraz z rodziną na Śląsk i dopiero teraz udało mi się na stałe wrócić w Rzeszowskie. W Zagórzcu do dziś mieszka moja rodzina.

Rozmawiał: R. NIEMIEC



STANISŁAW URBAN — Wibracje III.

WYSTAWY W DOMU SZTUKI



EUGENIUSZ TUKAN - WOLSKI — kompozycja.

STANISŁAW URBAN — absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie — studiował również jako stypendysta Ministerstwa Kultury i Sztuki w Paryżu. Brał udział w licznych wystawach krajowych i zagranicznych, indywidualnych i zbiorowych. Prezentował także swoje prace za granicą w Strassburgu, Dreźnie, Paryżu i Pradze.

EUGENIUSZ TUKAN-WOLSKI ukończył studia w krakowskiej ASP. Uzyskał wyróżnienie w konkursie malarskim w Katowicach. Swoje prace malarskie ekspozował w wielu wystawach indywidualnych w Nowym Sączu, Katowicach, Szczecinie i Świnoujściu. Jego obrazy znajdują się w zbiorach Ministerstwa Kultury i Sztuki, ambasady Iraku oraz The Luka Gallery w USA.

EWUNIA

(Ciąg dalszy ze str. 1)

rozrywaniem towarzysko przez najwyższe sfery oraz bywającym w salonach rodziny Bonaparte.

Mickiewicz miał zamiar jechać do Neapolu, został jednak do Wielkanocy. Ankiewiczowie wyjechali 4 maja 1830 r. do Florencji, a potem do Paryża. Matka Ewy, która podziwiała Mickiewicza i sprzyjała mu, pisywała doń listy, proponując spotkanie w Genewie. Obaj przyjaciele pojechali tam. Dołączył do nich Zygmunta Krasieński. Odyńcem określili go w swych zapiskach, jako człowieka wykształconego, ale nalwonego. Towarzystwo pływało statkiem po Jeziorze Genewskim i odwiedzało przybrzeżne miejscowości.

Mickiewicz sprawił sobie nowy garnitur. Był teraz ubrany starannie i elegancko, niemal wytwornie.

Wrócić towarzystwo pojechało do Mediolanu. Tam Ankiewicz w rozmowie z żoną oświadczył, że woli widzieć Ewę na marach, niż poślubioną Mickiewiczowi. Ewunia wspominała potem, że matka do-

stała po tej wypowiedzi ataku szaleństwa.

Stosunki między Ankiewiczem a Mickiewiczem ochładzały się coraz bardziej. Zbliżała się chwila ostatecznego rozstania. Poeta wyjechał z Rzymu 20 kwietnia 1831 roku do Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Wybierał się za kordon, celem wzięcia udziału w powstaniu. Dostał się jednak w wir życia towarzyskiego. Wreszcie sytuacja militarna w Królestwie wyjaśniła się na tyle, że poeta nie miał już po co jechać za kordon...

Ewunia z uwagą śledziła przebieg powstania, czytając wszelkie dostępne relacje, a potem, już po jego upadku — słuchając opisu wypadków z ust naocznych uczestników. Zaprzyjaźniła się wówczas z Karolem Montalembertem — magnatem, który założył szkołę ludową i kazał się tytułować nauczycielem ludowym. Stał się on wielkim przyjacielem Polaków. Nauczył się języka polskiego, w Paryżu poznał wielu uchodźców z powstania m. in. ge-

nerałów Kniaziewicz, Dwernickiego, Dembińskiego oraz Worcella, Zaleskiego i Zana. Wstąpił również do Towarzystwa Literackiego Polskiego, założonego przez księcia Czartoryskiego. Jako deputowany do Zgromadzenia Narodowego Montalembert niejednokrotnie zabierał głos w sprawie polskiej, nie tylko zresztą jako mówca, ale również jako pisarz. Po pięciu latach nieobecności w Polsce, Ankiewiczowie wrócili do Machowej. Hrabia lubił tę wieś. Wraz z żoną trzymał do chrztu chłopięce dzieci, wyprawiał często sute odpusty, a sam w czasie uroczystości lubił namiętnie dyrygować orkiestrą...

Zimą 1833 r. Ankiewiczowie spędzili w Krakowie, a lato 1834 r. w Ems i Wiesbaden. Tam Ewa spotkała Krasieńskiego, który doniósł jej o ślubie Mickiewicza, co przeżyła bardzo boleśnie. Wkrótce całe towarzystwo wyjechało do Rzymu. Tam Ewa poznała hr. Stanisława Sołtyka, dziedzica Kurozwęk, spokrewnionego ze słynnym biskupem Kajetanem Sołtykiem, którego caryca Katarzyna II poleciła wywieźć na Sybir, za stawianie weta przy podpisywaniu traktatu rozbiorowego. Krasieński postanowił wysłać Ewę z Sołtykiem. Ankiewiczówna początkowo opierała się tym projektom.

W dzienniku jej znajdujemy zdania świadczące o tym, że Sołtyk jest nudny i nie może znieść jego obecności. Potem jednak zmieniła poglądy na ten temat; Sołtyk zaczął się jej podobać. W listopadzie 1836 r. odbył się ślub. Krasieński dopiął swego.

Potem Ankiewiczowie spotkali się w Dreźnie z Odyńcem. Pewnego dnia hrabia wziął Odyńca pod ramię: „No cóż panie Edwardzie! Pan Adam opisał mnie w Stolniku!”

Odyńcem zmieszkał się, a Ankiewicz powiedział: „Daj pokój! To już się stało. Gdybyś Pan przyjechał z nim na drugą zimę, może było by inaczej. Każdy ojciec ma przecież prawo, aby mu się o córkę kłaniano!”

W gruncie rzeczy Ankiewiczowie czuli się pochlebieni uniemożliwieniem hrabiego w postaci Stolnika w „Panu Tadeuszu”.

W 1840 r. zmarł Sołtyk, a wkrótce po nim — stary hrabia.

W cztery lata później Ewa ponownie wyszła za mąż za hrabiego Kazimierza Kuczkowskiego. Powtórna mężatka mieszkała teraz w pałacu na Woli Justowskiej w Krakowie. Prowadziła wystawny tryb życia, urządzając wciągane bale i przyjęcia. Echa tego docho-

dzającego w College de France. Jakaś aktorka czy śpiewaczka przybyła z Galicji, oświadczyła mu: „Mamy wspólnych znajomych”. — „A któż to taki?” — „Hrabina Kuczkowska”. — „Styś, słabem, że ona tam teraz w przepychu i zbytkach”. „Przepychów nie widziałam — odparła rezolutnie aktorka. — A zbytki? Jeśli można nazwać zbytkiem komplet Pańskich dzieł, oprawnych w safian i złoto...” Na taką ripostę Mickiewicz rozpromienił się i prosił damę, aby odwiedzała go częściej, bo chciałby pogwarzyć o „wspólnych znajomych”.

Ewa rzeczywiście pamiętała o dawnej miłości. Swą córkę nazwała imieniem wziętym z „Pana Tadeusza” — Zosią. Mickiewicz od czasu do czasu pisywał do niej. Raz przesał jej pierścionek zaręczynowy, z prośbą, aby przekazała go synowi Stanisławowi, który niestety wkrótce zmarł. W 1855 r. Ewa napisała pierwszy w swym życiu list do Mickiewicza. Dostała odpowiedź wraz z owym pierścieniem. Prawdopodobnie przebywała wtedy w Trzósówce koło Kolbuszowej. Wysłała drugi list. Zdaje się, nosiła się z zamiarem zaproszenia Mickiewicza do Trzósówki.

RYSZARD DZIESZYŃSKI

Rozmowy „Widnokręgu”

Nowości radiowego programu

(ROZMAWIAMY Z REDAKTOREM NACZELNYM ROZGŁOSNI POLSKIEGO RADIA W RZESZOWIE — ZYGMUNTEM WÓJTOWICZEM)

Z dniem 17 bm. wprowadzony został w życie nowy program ramowy Polskiego Radia. Cechuje go wiele zmian. Wynikają one z życzeń słuchaczy oraz wniosków i postulatów zgłoszonych w czasie kampanii przedzjazdowej. Rozmawiamy na ten temat z redaktorem naczelnym Rozgłośni Polskiego Radia w Rzeszowie — ZYGMUNTEM WÓJTOWICZEM:

— Funkcje radia są ogólnie znane — mówi red. Z. Wójtowicz. — Jest to najbardziej masowy, a zarazem najszybszy środek informacji, propagandy i wychowania. Dzisiejszy słuchacz ma wprawdzie szeroki wachlarz innych środków masowego przekazu; sieć kin i bibliotek, prasę, wciąż rozwijającą się telewizję, ale pomimo tego tylko w ub. roku w naszym kraju o ponad 58 tysięcy zwiększył się stan radiobonitentów. W województwie rzeszowskim zarejestrowanych jest blisko 230 tysięcy odbiorców radiofonii przewodowej i bezprzewodowej. Tu należy zaznaczyć, że nie wszystkie radiobonimiki ujęte są w statystyce, na jedyną bowiem rejestrację rodzina posiadać może kilka aparatów radiowych. Nie jest to jednak stan zadawalający. Przy wskaźniku „ilość radiobonimików na 1000 mieszkańców” zajmujemy jedno z ostatnich miejsc w kraju. Problem ten pragnę przy okazji zasymulizować handlowcom, spółdzielczości wiejskiej i ZURiT. Mają oni piękne pole do popisu w zakresie szerokiej propagandy sprzętu radiowego, zwłaszcza z zakresem fal ukf. Niemniej uważamy, że krąg naszych słuchaczy jest bardzo szeroki. Posiadamy stosunkowo silny nadajnik. Słuchają nas nie tylko w województwie rzeszowskim. Liczne listy otrzymujemy m. in. od słuchaczy z woj. wrocławskiego czy krakowskiego, a także z Związku Radzieckiego, Węgier i... Szwecji.

— Przejdźmy jednak do nowej ramówki programowej Polskiego Radia. Jakże wprowadza zmiany?

— Przede wszystkim poważnie zwiększył się czas nadawania audycji. W stosunku do roku ubiegłego jest to wzrost o 906 godzin, w tym o 747 godzin zwiększył się czas nadawania programów lokalnych. Cechy zasadnicze nowego programu to rozbudowa i usprawnienie informacji. Dzienniki przyjęły nową, atrakcyjniejszą formę. Depesze uzupełniają materiały publicystyczne i dźwiękowe. Wyższą rangę nadaje się problemom społecznym. Audycje dla dzieci i młodzieży będą bardziej atrakcyjne w formie, przy jednoczesnym uwzględnieniu ich roli wychowawczej. Dużo czasu na antenie poświęca się audycjom artystycznym i rozrywkowym. Wreszcie — w programie dominować będzie problematyka 25-lecia PRL.

— A jaki, na tle programu ogólnopolskiego, jest obecnie program lokalny rozgłośni rzeszowskiej?

— Przy niezmienionych warunkach technicznych i tej samej obsadzie personalnej, nasz program zwiększył się o pół godziny dziennie, a więc o 33 procent. Poważnie zwiększamy ilość audycji z zakresu problematyki społecznej i młodzieżowej oraz audycji słowno-muzycznych. Jest to ogólnie przyjęta tendencja rozwojowa radia. Rośnie propozycja audycji muzycznych i słowno-muzycznych w stosunku do audycji słownych.

— Przejdźmy do konkretnych.

— Dotychczas głównym blokiem programowym naszej rozgłośni był odcinek popołudniowy od godziny 16.05 do 17. Obecnie rozpoczynamy audycję pięć minut później, ale na antenę wchodzimy częściej w godzinach rannych i przedpołudniowych oraz w godzinach popołudniowych w zakresie fal ultrakrótkich. Rano o godz. 7.15 nadawaliśmy dotychczas nasze programy przez 5 dni tygodnia, obecnie nadajemy codziennie, przy czym w niedzielę rozpoczynamy audycję o 5 minut wcześniej. Nowością jest wprowadzenie programu lokalnego w każdą sobotę od godz. 13 do 13.40. W niedzielę przed południem nadawane będą audycje typu literackiego, prezentujące problematykę naszego środowiska twórczego, koncerty

estradowe, reportaże. Natomiast w godzinach wieczornych podawane będziemy nadal lokalne wiadomości sportowe.

— Zgodnie z życzeniami naszych słuchaczy czynimy dalszy krok w kierunku stworzenia programu bardziej — jak to się mówi strawnego, lżejszego. Dlatego zrezygnowaliśmy z kilku dotychczasowych pozycji programu, zachowując jednak te, które stanowią dla nas trwały dorobek, które zdobyły sobie krąg stałych słuchaczy, takie m. in. jak odcinki ekonomiczne, magazyny; młodzieżowy, dla kobiet, o wojsku, o sporcie i turystyce, audycje z cyklu „konfrontacje”, „gratulujemy”, „rzeszowscy naukowcy”, „antena literacka”, „włoskie canto”, „jakie są pytania”, „radiowy turniej: wiem wszystko”, czy „odpowiedzi ze studia”. Z nowych pozycji w poniedziałek rano, wprowadzamy audycję „Nasz tydzień”, która będzie poruszać aktualne tematy i wydarzenia tygodnia. Audycja „Dokumenty i wspomnienia” otwierać będzie mało znane, a ciekawe fakty z okresu okupacji i walk zbrojnych pierwszych lat powojennych. Audycje „biografia i postawy” poświęcamy na kreślenie sylwetek zasłużonych dla województwa ludzi. W audycji „Ludzie i marzenia” konfrontować będziemy ludzkie marzenia z dniem dzisiejszym. Stałą audycję „Prezentacja miasta” poświęcamy Rzeszowowi. Tytuły audycji „Kronika wielkich budów”, „Z kartoteka zbrodniarzy wojennych”, „Z drugiej strony lady”, „Jesteśmy młodzi” — określają ich charakter. Z nowych pozycji naszego programu wymienię jeszcze audycję „Na radiowej wokandzie”, w której ocenie, a raczej osądowi słuchaczy, poddawane będą krytyczne fakty naszego codziennego życia oraz audycję „Świat i ja”, której celem będzie konfrontacja ocen różnych ludzi z aktualnymi wydarzeniami. Specjalną audycję poświęcamy problemom bezpieczeństwa ruchu drogowego. Wreszcie — nadawane będą stale koncerty dla ludzi dobrej roboty oraz audycje dla hobbystów. Oczywiście formy warsztatowe tych wszystkich audycji będą bardzo zróżnicowane, począwszy od audycji słownych, poprzez wywiady, felietony, reportaże dźwiękowe, audycje słowno-muzyczne do słuchawki włącznie. Radio ma duże możliwości stosowania tych wszystkich form i właśnie poprzez ich stosowanie możemy łatwiej dotrzeć do słuchacza. Dlatego też zwracamy na nie szczególną uwagę. By nasz program był jeszcze atrakcyjniejszy. Lepszy niż dotychczas.

— Dużo się ostatnio mówi o przyszłości radia na falach ultrakrótkich...?

— I nie ma w tym słowa przesady. Wszystkie nasze audycje, cały program lokalny, nadawany do godz. 17 emitujemy na falach średnich i ultrakrótkich w zakresie 68,2 MHz oraz na radiofonii przewodowej. Natomiast codziennie, oprócz soboty i niedzieli, po godz. 17 nadajemy programy wyłącznie na falach ukf. Wprawdzie zdajemy sobie sprawę z tego, że nie ma jeszcze zbyt wielu słuchaczy, którzy posiadają odbiorniki z zakresem ukf, niemniej nie możemy zapominać, iż z czasem przejdziemy na nadawanie programów lokalnych wyłącznie na tych falach, które zapewniają najlepszą technicznie jakość odbioru. Dlatego już teraz zachęcamy do nabywania aparatów radiowych z zakresem fal ukf, lub przystosowywania odbiorników do odbioru programów w naszym paśmie. Dlatego też na falach ukf nadajemy szereg ciekawych audycji, głównie audycji lekkich, muzycznych i słowno-muzycznych, m. in.

(Ciąg dalszy na str. 5)

Krystyna Swierczewska

Ojcowie i dzieci

ANTONI I ADAM

Przypadł mi w udziale pierwszy „portret zbiorowy” z nowo planowanego przez „Widnokrąg” cyklu „Ojcowie i dzieci”. Pomieściłam w tym portrecie, choć niedoskonale i szkicowo sylwetki Panów Antoniego i Adama Harasiewiczów — artystów, wywodzących się duchem z Rzeszowskiego. W następnych materiałach znajdziemy niewątpliwie nazwiska znane w kulturze i nauce polskiej, i również trwale wywodzące się z tradycji kulturalnych Rzeszowszczyzny.

Nazwisko syna poznałam wcześniej niż ojca; był rok 1955 — dla mnie rok upartej pracy dyplomowej, kiedy rozbiłam się za monografiami o Zoli, kiedy ląkałam ostatnie hausty Krakowa, jakby wiedząc już wtedy, że przyjdzie mi miasto porzucić i jechać w Polskę. Wtedy też właśnie, razem z niepozorną dziewczyną — przyjaciółką o przepastnych oczach, która zarzuciła fortepian, ale kochała go nigdy nie przestając, słuchałyśmy w radiu namiętnie konkursu Chopinowskiego i Adam, nieco od nas starszy, ale też student jeszcze, był naszym zdecydowanym faworytem. Faworyt zdobył nagrodę, pierwszą, najwyższą nagrodę, obejrzałyśmy go we framaku na okładce „Dookoła Świata”, zobaczyłyśmy całującego rękę królowej belgijskiej, wielkiej przyjaciółki Chopina i świat potoczył się na nowo, przerwany tą erupcją sztuki jak cezura, która często dzieli w wierszu to co z sensem od tego co piękne.

Dziś od tamtej pory minęło 14 lat i siedzę z panem Antonim Harasiewiczem w jego wielkim mieszkaniu, gdzie pozostałością po Adamie są fotografie i fortepian; jego ciągłą obecnością — piąty; jego powiązaniem z krajem — matka, ojciec i cały entourage lat dziecińczych, kiedy ani wiedział jeszcze, że będzie o nim głośno w świecie i że Chopin ponownie odżyje (któryż to już raz!) dzięki talentowi i jego wrażliwości. Nie wiem komu, czemu zawdzięcza się talent; wiem choćby się wielu z mną nie zgadzało, że wrażliwość uczy dom, matka, ojciec, lata pozorne beztraskie, te lata, które się później mija tylko pamięcią, a które są zawsze rzeczywistym początkiem.

Siedzę z Panem Antonim, za oknem są wrony na śniegu, odświeżam pamięć z miłą plotką towarzyską i widzę jeszcze ten program, który pisał własnoręcznie z koncertu F-moll Chopina, tu przecież, na zamkniętym dziś fortepianie ćwiczony przez 16-letniego chłopca. Widzę jego niedysięsne zabiegi, entuzjazmy, nadzieje łączone z chłopcem o wielkiej wrażliwości, urodzie, talencie i mimo podziwu dla mężczyzny 36-letniego, czyli podziwu dla kunsztu Adama Harasiewicz, słucham ojca uważnie, bo w tych słuchaniu przeczuwam, odkryję początki, z których dzisiejszy mój podziw mógł się wziąć.

Wrony skaczą po balkonie; pokój jest duży i spokojny w nim jeszcze większy. Dzieli nas tak dużo czasu od tamtych pierwszych lat, że tłoczą się fakty, zamazuje często ich sens, te lata, kiedy Rzeszów przyjął Harasiewiczów, kiedy Pan Antoni przemierzył pół Polski rowerem, zdezorientowany, co począć, jak umieć zostawić rodzinie Wyrzyko w Ponańskim, przed wrześniem bardziej Virsitz niż Wyrzyko, jak porzucić ten swój 10-letni trud nauczycielski włożony w powiat, w którym na 96 szkół aż 26 było z obowiązującym językiem niemieckim, gdzie upchnąć te ideały, którymi zarzili go profesorowie — Grabowski z Uniwersytetu Poznańskiego i Kleiner z lwowskiego, gdzie sprzedać swoją pedagogiczną dojrzałość, kiedy Polska rozsypanywała się pod butem grabieżcy, który już o 8 rano 1

uczy się patrzeć na malarstwo. I ma syna. W 1945 roku ten syn ma 13 lat; próbował już skrzypiec — rzucił; teraz próbuje fortepianu i rysunku.

Na swoje szczęście i dzięki kontaktom artystycznym ojca spotyka Janinę Stojalowską, uczennicę Friedmanna, znakomitą pianistkę; to jest właśnie ten moment, który zadecyduje później o wyborze, o talencie w dobrej chwili uchwyconym i przemienionym w pracę. Co dalej było z Adamem — wiemy, znamy.

Ale kiedy dziś próbujemy odrzucić czas, trochę lat — zastanawia nas właśnie ten moment, który zadecyduje później o wyborze, o talencie w dobrej chwili uchwyconym i przemienionym w pracę. Co dalej było z Adamem — wiemy, znamy.

Ale kiedy dziś próbujemy odrzucić czas, trochę lat — zastanawia nas właśnie ten moment, który zadecyduje później o wyborze, o talencie w dobrej chwili uchwyconym i przemienionym w pracę. Co dalej było z Adamem — wiemy, znamy.

Ale kiedy dziś próbujemy odrzucić czas, trochę lat — zastanawia nas właśnie ten moment, który zadecyduje później o wyborze, o talencie w dobrej chwili uchwyconym i przemienionym w pracę. Co dalej było z Adamem — wiemy, znamy.

Są wrony na śniegu za oknem i cisza. W tę ciszę rodzicielską wkraczam jak intruz docieklawy, stojący z boku, a ciekawy, jak dzieje się w innych rodzinach, czym one być mogą, czym są, były, do czego niezdolne i gdzie wstępu nie mają. Bardzo miły jest dom państwa Harasiewiczów, zdaje mi się, że dobrze się w nim żyć mogło Adamowi — którego wcale nie znam i z którym w życiu zdania nie zamieniłam. Ale znam go z chropowatej piąty, która długo lat grywa mi piękne poloneza i wyobrażam go sobie trochę zaczadzonego dziś Zachodem, jak mówi ojciec, a kiedyś malującego babicki pejzaż kredkami przez ojca podsuniętymi, nieszczerzonym ucznia — znakomicie pracującego przyszłego wirtuoza. I wcale mnie nie dziwi, kiedy ojciec wspomina ów

Jan Bolesław Ożóg

CZARNE ŚWIATŁA

Już w pierwszym zbiorku krótkich opowiadań o dzieciach Nowej Huty „Ścieżki wśród ulic” (Iskry, 1957), ukroczył Julian Kawalec na teren spraw, które się będą ciągle odzywać w dalszej jego twórczości — spraw przemian kulturowych i moralnych ludzi wsi. Człowiek, którym żyje uwaga i wzruszenie Kawalca, to przede wszystkim chłop, który wyemigrował do miasta i traci związek z ziemią. Opowiadania z tomu „Zwalony więz” (1962), jak i powieści „Ziemi przypisany” (1962), „W słońcu” (1963) i „Tańczący jastrząb” (1964) poświęca autor, sam odczuwający wciąż serdecznie więzy ze wsią, choć po ukończeniu studiów mieszka w mieście, analizie psychologicznej zjawisk, towarzyszących skomplikowanemu i wielorakim przemianom psychiki chłopca na wsi i w mieście.

Krytycy niejednokrotnie podkreślali, że proza Kawalca stoi jak najdalej od zjawiska, które zwykło się nazywać literaturą wiejską czy środowiskową. Ma ona zawsze rysy universalistycz-

nego moralitetu, ukazującego życie wewnętrzne człowieka, „skazanego — jak to powiedział kiedyś Janusz Rohoziński — przez historię na zdobywanie godności”.

Tak, to prawda, chłop Kawalec, obojętny czy żyjący na wsi, czy awansujący społecznie i kulturalnie w mieście, to zawsze człowiek o jakimś niezwykłym, kapłańskim wprost poczuciu sprawiedliwości i słuszności, o sumieniu wysubtelniowanym niemal do granic sumienia anioła w dążeniu do celu. Gdy przed człowiekiem Kawalca otworzy się możliwość awansu, ucieczki z piekła cierpień, ucisku i nędzy, nikt nie dorówna mu w uporze pięćdziesiątka lat wstąpił przez przeszkody, nikt nie jest zdolny pamiętać tak silnie skrzywdzeń ze strony losu jak on, ale gdy osiąga już cel, przyjdzie mu cierpieć stokrój mocniej. Wyobcowując się ze wsi napotyka pogardę ze strony nieufnego nowego środowiska i wtedy odzywa się spóźniony żal za dawnym prostym życiem i umarłą wsią. Nie inaczej się dzieje z chłopem, kiedy

czas matematyk i fizyk, które zresztą z poświęceniem tłumaczył Adamowi świetny kolega i przyjaciel, wiedzący najlepiej ile Adam wiedzieć musi, by przebrnąć Rubikon maturalny; że Adamowi szkoda było godzin na fizykę, kiedy czekała gama, pasaż, etiuda, jeżdżąc się trudnościami techniki niezbędnej do zgrębnienia mazurków chopinowskich.

Ale tuż zaraz ocieram się o zdanie, że Pan Harasiewicz starszy kochał antyk i chciał cząstką tego kochania zarazić syna. Jak to robił? Nie zawsze sam, choć sam uczył go łaciny, a poza nią niemieckiego, angielskiego, ale właśnie poprzez szukanie ludzi światłych i powierzanie im pieczy nad kulturą Adama. Tak profesor - filolog klasycznego, nazwisko kiedyś znane i szanowane w Rzeszowie — zmusił do opowiadania Adamowi dyktaryjek o antyku; tak polonistę - przyjacie-

la — do roztrząsania z Adamem tematów z zakresu historii kultury; po prostu chciał, żeby przyzyszy wirtuoz był prawdziwym humanistą.

Dlatego dziś uśmiecha się, kiedy usituje mi tłumaczyć, że Adam kupuje obrazy, ikony, a Adam mówi, że to tak świetnie człowiekowi wejść we własny dom, obejrzyć co w nim jest, objąć, wszystko zobaczyć jako formę, kształt ręką ludzką uformowany. I dlatego, że Adam ma 36 lat dopiero — powiada, że on jeszcze ciągle zbyt młody, by sprawdzić ostatecznie, co mu dało preludium humanistyczne, które tak starannie ojciec przemysłował dla syna.

Pan Antoni Harasiewicz, gdy miał te lata i był w Wyrzysku całe myślenie skierował w stronę zagadnienia, jak tworzyć Polaków. Adam Harasiewicz dostaje dziś listy od ojca, w których jak w monotony, ale potrzebny

motyw przewija się zdanie: pamiętaj, że masz być ambasadorem kultury polskiej! Zresztą nie on jeden pisze takie listy. Pisze je od dawna prof. Drzewiecki, znakomity pedagog i mistrz Adama, poza tym jego wielki przyjaciel, który go nadal przysłuchuje, gdy Adam zjeżdża do Polski, uczy nadal, służy radami nawet tak drobiazgowymi jak ukłonię na estradzie, wstanie z taboretu, poruszanie się...

Pan Antoni Harasiewicz sam doganiający wiek profesora Drzewieckiego mówi, że kultura młodego człowieka jest połączona trwale z całym sposobem odnośnienia się do rzeczy, bycia ludzi starszych; jest emanowaniem indywidualności in plus i... niestety, in minus. Bo dziecko nie wie co jest dobre, a co złe i odróżnienie to nieprędko w nim następuje, ale dziecko czuć musi, że rodzice się nim interesują, bowiem psychika dziecka kształtuje się na materiale konkretnym.

Więc uczył patrzeć Adama. Nie nudząc, nie teoretyzując, nie niszcząc piękna sztuki w powinności elementarnych wiadomości. Może dlatego tak cieszy się z każdej książki, zakupionej przez Adama z zakresu sztuki? Może dlatego tak szuka dla niego rzeczy dobrych, wydawniczo ciekawych; przesyła je bądź czeka aż syn wstępując przynajmniej dwa razy do roku w jego dom, sam prezent zabierze. Bo on zna odpowiedź na postawione przez Gałczyńskiego w „Niobe” pytanie:

*Bon soir, Monsieur Chopin
Jak Pan tutaj dostał się?*

Wie, że ten Szopen nie był z gwiazdki, nie przelotem, ale że zadomowiony w jego mieszkaniu i w mieszkaniu jego syna.

Pusty pokój i wrony na śniegu. W tym pokoju pomieściły się wszystkie trofea światowe Adama — płyty Philippsa. Firma z siedzibą w Baarn w Holandii wypuszcza w świat Szopena — Polaka nagranych ręką Polaka, który nad Wisłokiem uczył się abecadła muzycznego. Wspaniałe nagrania, tak bardzo wspaniałe, że wzdycham do kolekcji ojcowej, pieczołowicie skompletowanej. Dużo ich i ma się ochotę po raz pierwszy w sztuce posługiwać się ilością, kiedy o jakości fachowcom wszystko jest wiadome; tak dużo, że niewiele jeszcze Harasiewicz ma do zrobienia, by ofiarować światu całego Szopena. Bo oto nagrane są obydwa koncerty, 19 Nokturnów, 4 Ballady, 27 Mazurków (31 jeszcze mu zostało do nagrania i to jest ta największa luka albo pra-

ca, jaka przed nim), 3 z 4 Sonat, 7 Polonezów, 4 Impromptus, Fantazja F-moll, Barkarola, Bolero, Tarantella, 3 Ecosaisies, 4 Scherza, 27 Walców, 24 Preludia. Niemal wszystko, bo jeszcze tylko brak w komplecie Ronda à la Krakowiak, La ci darem manu i paru polonezów. Tytaniczna praca.

Adam Harasiewicz mieszka dziś w Austrii w Salzburgu. Ojciec powiada, że wszystkie ewentualne synowe powychodziły za mąż, czyli dobry jego gust, że tak szybko... Mieszka sam i wraca, kiedy może do Polski, do swego mieszkania w Warszawie z obrazami i ikonami. Tam gdzie przychodzą listy nawet z Australii, analizujące jego talent i zapraszające go na obce kontynenty. W Rzeszowie, przy ulicy Kościuszki, pozostawił pierwszy fortepian, tekę interesujących rysunków, które spędzały ojcu sen z powiek przy akceptacji zawodu syna i... ojca właśnie. Ojca przyjaciela w kulturze i koleję po krzyżu — jak mówi żartobliwie późniejszy posiadacz owego Krzyża Kawalerskiego Orderu Od-

rodzenia Polski, przyznanego o dziwo dopiero na emeryturze — pedagog Antoni Harasiewicz, przypominając od razu ów dziesięcioletni okres bez mała, jaki dzielił w czasie ojca od syna przy wręczaniu uroczystym rekompensat za ich różną pracę. Syn pozornie wyprzedził ojca. Ale to nie bywa tak proste, owo sformułowanie, jeśli zna się klimat, jaki właśnie ojciec przygotował na sprawdzenie w świecie synowskiego talentu.

Słyszę w pokoju, gdzie koncertował 13-letni chłopak przed 23 laty walca nr 3 A-moll, tak bardzo pięknego, że wymieniłbym go li tylko na skrzydła wron na śniegu, które umieją latać. Słysz, że dźwięki jak wronie pióra fruwały wokół, a mnie jest trochę wstyd, że usiłuję sprzedać publicznie relacje ojciec — syn i mnie jest trochę żal, że nie potrafię przekazać, co naprawdę myślę. Pamiętam zaś tylko to, że Pan Antoni Harasiewicz nauczył go być ambasadorem kultury polskiej w świecie. I dziś cieszy się, że go nauczył.

Nowości radiowego programu

(Ciąg dalszy ze str. 4)

— Nasz radiowy program bardzo mocno wiążemy z programem obchodów srebrnych godów Polski Ludowej oraz kampanią wyborczą do Sejmu i rad narodowych. W tym względzie najważniejsze będą treści programowe. Prezentować przeto będziemy osiągnięcia i dorobek 25-lecia, mówić o dokonywanych przeobrażeniach, tak widocznych zwłaszcza na Rzeszowszczyźnie. Jednocześnie, ukazując dorobek, mówić będziemy o zadaniach i ukazywać perspektywy dalszego rozwoju, popularyzować ludzi czynu 25-lecia i w ogóle ludzi dobrej roboty. Audycje nasycimy treścią ideowego i patriotycznego wychowania. Te zadania stawia przed nami Uchwała V Zjazdu PZPR.

— Zmieńmy nieco temat. Jaki jest udział rozgłośni rzeszowskiej w programie ogólnopolskim?

— Do współpracy z rozgłośnia centralną przykładamy dużą wagę. Z każdym rokiem nasz udział w programie ogólnopolskim wzrasta. W roku ubiegłym osiągnęliśmy wynik rekordowy, nadając w programie centralnym aż 86 godzin, tj. o ponad 140 proc. więcej niż w roku 1967. Ambicją naszego zespołu jest, żeby w br. poczynić dalszy postęp w tym względzie. Antenę ogólnopolską uważamy za wizytówkę dla przekazywania wspaniałych osiągnięć ziemi rzeszowskiej słuchaczom całego kraju.

— A jaki będzie udział rozgłośni rzeszowskiej w obchodach 25-lecia PRL?

— Nasz radiowy program bardzo mocno wiążemy z programem obchodów srebrnych godów Polski Ludowej oraz kampanią wyborczą do Sejmu i rad narodowych. W tym względzie najważniejsze będą treści programowe. Prezentować przeto będziemy osiągnięcia i dorobek 25-lecia, mówić o dokonywanych przeobrażeniach, tak widocznych zwłaszcza na Rzeszowszczyźnie. Jednocześnie, ukazując dorobek, mówić będziemy o zadaniach i ukazywać perspektywy dalszego rozwoju, popularyzować ludzi czynu 25-lecia i w ogóle ludzi dobrej roboty. Audycje nasycimy treścią ideowego i patriotycznego wychowania. Te zadania stawia przed nami Uchwała V Zjazdu PZPR.

— A jaki będzie udział rozgłośni rzeszowskiej w obchodach 25-lecia PRL?

Rozmawiał: J. WOZNAK



Portret Janiny Stojalowskiej — nauczycielki, dobrego ducha opiekunicy Adama, rysowany przez niego, kiedy miał 13 lat.

KAWALCA

wskutek naporu techniki i urbanizacji traci ziemię. Nie ma wtedy już dla niego życia.

Ostatnio puścił Kawalec w świat nowy zbiór świetnych opowiadań „Marsz weselny” (Lud. Spółdz. Wyd. 1966 r.).

Tym razem akcja opowiadań przebiega na starej, przedwojennej wsi. Znowu tematem Kawalca staje się ziemia i ludzie, opasowani wielkimi namiętnościami i wielkimi kompleksami. Pamięć skrzywdzeń odbiera im zdrowie i sens życia, doprowadza do zachwiania ich psychiki. Obsesje pchają ich w ohtantne obłądki, jak bohaterów prozy Faulknera. Tak jest w opowiadaniu tytułowym i w „Marszu weselnym”.

Najbardziej niezwykle opowiadanie to „Ludwika, córka Ładugi”. Opowieść o zdarzeniach, które zdecydowały o okrutnym losie jednej rodziny. Stara, jatołowa Katarzyna rodzi ku zdziwieniu całej gromady dziecko. Jest to szok dla niej, ale jeszcze większym szokiem staje się fakt, że dziewczynce usycha lewa noga. Nieszczęsna matka usituje ją

utopić w Wiśle, aby zaoszczędzić jej przyszytych nieszczęść, ale w ostatniej chwili wyciąga dziewczynę z wody i pod wpływem wyrzutów sumienia umiera. Po pogrzebie dorastająca Ludwika zakochuje się w paniczku z dworu, który przejechał przez wieś na pięknym koniu, a w niej sam własny ojciec. Dziewczyna pragnie pokazać się paniczowi nago i z daleka, i kąpie się w tym celu w rzecze. Ojciec łapie ją na gotącym uczynku, bije powrozem i prowadzi ją w kołcu, uwiązana na tym powrozie za szyję, jak krowę na pole, na którym umarł kiedyś dziadek po utracie majątku. Tu przypomina jej, że grunt ten muszą wyszukać z powrotem. Harując bez wytechnienia, on przy sypaniu wałów nad Wisłą, ona we dworze — przy czym panicz nie wie, że to ona jest dziewczyną z wody — zdobywają pieniądze, ale wybuch wojna i stają się one bezwartościowe. Ładuga popada w rozpacz i obłąkanie, a córka zabija panicza. Przyjaciele młodego wywiekają ją w las na powrozie i wieszają na drzewie.

To, co Kawalec przedstawia w swojej niezwykle ujmującej prozie, to jest zawsze rozpamiętywanie jakichś wzruszeń, rozpamiętywanie do ostateczności i niepamięci. Obrazy wielkich namiętności przekształcają się pod ręką pisarza w odrębne światy niepojętych dziwów. Nie zapomnę, jak się zachowuje Ładuga na kupionym przez Maronina nie za złote, ale za dolary polu dziadka. Siedzi sędzą, że Maronia zabije, ale nienawiść Ładugi przeradza się w czynność zgoła absurdalną, dla chłopów przynajmniej. Chwyta wór obcego zboża i rozsiewa po obcej mu roli na oczach oniemiałego uroga.

Można się dopatrzeć w tej czynności naturalnie takiego samego symbolu, jak w ostatnich czynnościach starego Boryny, kiedy ten wychodzi nieprzytomnie przed samą śmiercią w pole. Scen o symbolicznym znaczeniu odnalazł można by zresztą w opowiadaniu więcej. Woda, w której Ludwika kryje swoje tajemnice i szal uczyć, to naturalnie także jakiś symbol i to w kategorii wielkich symbolów freudowskich czy jungowskich. Do rzędu wielkiej sprawy urasta pod piórem Kawalca każdy szczegół rzeczy i przeżycia. Na przykład kłos na dachu budy dla kozy. A także próba zerwania go przez Ludwikę. Ojciec nie daje go zerwać, broni go i karci córkę. W tym opisie długim i bardzo poetycznym kłos staje się

symbolem uczuć ojcowskich, niezwykłych, jak on sam. Zerwać go chce dziewczyna może podświadomie, ażeby zarazem zerwać z domem i ojcem, i uciec przynajmniej w marzeniach do panicza.

Akcja w opowiadaniach Kawalca jest dyktowana zawsze wstrząsającymi przeżyciami postaci. Posuwa się ona według zasady — od szoku bohatera do szoku. Analiza szoku — analiza zaskoczenia o granicach niemożliwych niemal do przeżycia, to właśnie zadanie, które Kawalec rozpracowuje.

W opisach zestawia on często realia z kontrastami. Dam przykład: „Panicz rzadko pojawiał się na drodze prowadzącej przez wieś i dlatego można mieć prawie pewność, że ludzie zapamiętali sobie ten dzień i to pierwsze spotkanie, a właściwie to wymiennie się na drodze kulawej Ludwiki, trzymającej na sznurku kozę, z pięknym paniczem siedzącym na gniadym koniu. Można to było zapamiętać, bo to było spotkanie kulawej dziewczyny z pięknym paniczem, a równocześnie było to spotkanie chudej kozy z rumakiem” (str. 94).

Występuje tu aż 6 opozycji: panicz — Ludwika, idąca — jadąca, biedna — bogaty, kulawa — piękny, koń — koza, rumak a więc wypasiony — chuda (koza). Dla wzmocnienia wrażenia Kawalec powtarza opis. Dwa sąsiadujące zdania posiadają te sa-

me elementy obrazu. Znacząca autor również, że tego rodzaju kontrasty łatwo chwytają ludzkie prości. Kawalec jest naprawdę świetnym psychologiem.

Bohaterzy w opowiadaniach „Czarne światło”, to — jak wspominałem — ludzie, którzy stracili równowagę psychiczną pod naciskiem strasznych przeżyć. Także przyniatającej, niedobrej opinii. Ich losom przecież zawsze przylgają się przerażające unikliwe otoczenie, gromada, wykonująca po trosze jakby rolę chóru ze starogreckiego dramatu. Podobnie, jak osoby greckiej tragedii, wszyscy ci prości ludzie z gromady, obserwujący niesłychanie uważnie, to też ludzie wypełnieni całkowicie obsesjami i kompleksami.

Jeśli cechą poezji jest to, że wrzusa, że powinna wrzusać i wstrząsać, to właśnie taką poezją są na pewno opowiadania i powieści Kawalca.

W prozie też nawet materiał, z którego jest zbudowana, należy do poezji. Słowo, zdanie, stosunki zdaniowe budowane są na zasadzie wyznania lirycznego, są pełne nastroju i biblijnej niejałkowi powagi. Stałym elementem tej prozy jest refreniczność, wracanie w opisach do tego samego motywu, powtarzanie sytuacji, powtarzanie zdań. A dalej plastyczność języka, piękne porównania, obfitość określeń metaforicznych, swoista symbolika niektórych realiów czy sytuacji.

Ryszard Biłski Afrykański rejs

(VII)

DAKAR - STOLICA KONTRASTÓW

Charge d'affaires PRL w Dakarze — Witold Stasinowski — szykował się do wyjścia, kiedy swoją niezapowiedzianą wizytą zakłóciłmy nieco napięty rozkład zajęć jego dnia.

Od czterech dni stał w porcie m/s „Płock”. Do obowiązków służbowych dyplomaty przybyły teraz liczne spotkania towarzyskie z kapitanem statku, załogą i pasażerami. A jak tu nie skorzystać z zaproszenia na party, skoro od dwóch lat nie było się w kraju.

„Na głowie” ma nasz charge d'affaires także żeglarza Teligę. Jacht Teligi — dzięki osobistym staraniom W. Stasinowskiego jest już gotowy do drogi. Tylko płynąć i opowiadać światu o swoim sukcesie. Pozostanie dyplomatyczną tajemnicą, jakim cudem jacht został wprowadzony do portu... wojennego i tam właśnie przez marynarzy z „Płocka” wyremontowany. Charge d'affaires posiada — potrzebne w tym zawodzie — zdolności do załatwienia wszelkich nawet najtrudniejszych spraw. Wszędzie ma doświadczenie. Niewątpliwie szerokie znajomości, wiele osobistego uroku, serdeczność są atutami nie bez znaczenia. Ale najważniejszy argument to... „pokrewieństwo” z głową państwa senegalskiego — prezydentem Vsenghorom.

O tym, że żona prezydenta jest z pochodzenia Polką — pisała już szeroko nasza prasa. Tak szeroko i przekonująco, że znalazł się gdzieś pod Łodzią jej bliski krewniak. Ile w tym prawdy nie wiadomo, pewne jest jednak polskie pochodzenie małżonki prezydenta.

A to wystarczyło, żeby polskiego dyplomata ukazywano. Podczas najbardziej oficjalnych i ważnych spotkań prezydent Vsenghor przedstawia W. Stasinowskiego jako swojego kuzyna. Za tym kryją się wcale niebagatelne przywileje. Otóż np. kierownicy placówek dyplomatycznych w Dakarze mogą być przyjęci przez głowę państwa po 10 dniach od chwili zgłoszenia, zaś nasz charge d'affaires czeka tylko 3 dni...

Wieczorem, w salonie kapitańskiego m/s „Rzeszów” gościliśmy polskiego dyplomata. Czym chata bogata.

To było w poniedziałek, 10 lutego. Następnego dnia rano, obudził

bowej okrągłej czapce z polskim orłem wyglądał bardzo elegancko. Okazał się elegancki nie tylko z wyglądu, zadziwił nas uprzejmością. Sam prowokował i nawiązywał rozmowę, a gdy zorientował się, że jego — bezbłędna zresztą — francuszczyzna słabo do nas dociera przetruczył się na angielski. Ponieważ mówił w tym języku nie-

sada prawej ręki. Trzeba bardzo uważać, na każdą, nawet najmniejszą uliczkę przecinającą naszą trasę z prawej strony — samochód stamtąd wyjeżdżający jest zawsze uprzywilejowany. Zdarza się, że kierowca z prawej czeka i ruchem ręki wskazuje nam pierwszeństwo — nie ulega wątpliwości — to turysta, a nie Senegalczyk.



... Senegalki noszą się wyjątkowo barwnie i pstrokato...

wiele lepiej od nas, dogadywaliśmy się całkiem, całkiem.

Jedziemy przez eleganckie centrum Dakaru, podziwialiśmy śmiało konstrukcje wielopiętrowych gmachów, do których budowy nie żalowano stali i szkła. Nowoczesna architektura, francuska oczywiście — w każdym calu. Zatrzymujemy się na chwilę przed pocztą, trzeba wysłać widokówki do kraju. I znów otwierają się szeroko oczy z zachwytem! Dodatkowy

Przez szybką autostradę — oglądamy teraz zabudowania wchodzące w skład Dakarskiego Uniwersytetu i osiedla studenckie. Kolorowe tynki, wokół bujna roślinność; zieleni krzewów, mocna czerwień spotykanych wszędzie tych samych — bo odpornych na suszę — kwiatów, starannie utrzymane alejki.

Jeszcze kilka minut turystycznego objazdu i wpadamy na szeroką drogę. Im dalej od Dakaru, tym luźniej — szybciej polykamy kilometry. Po obu stronach szosy każdy kawałek urodzajnej gleby jest wykorzystany, rosną warzywa, palmy kokosowe (plantacje). Wyprzedzamy senegalski autobusik — podobny jest do naszego dostawczego „Zuka”, może tylko kilkadziesiąt centymetrów dłuższy. Rolę dachu spełnia kawałek pianki rozpiętej na drążkach. Wewnątrz kompletnie pasażerów. Oczywiście tym środkiem lokomocji jeżdżą tylko Murzyni.

Z boku zostawiamy lotnisko... Teraz szosa biegnie w kokosowym lesie. Zatrzymujemy się. Dwadzieścia metrów wgłąb i jesteśmy w fabryce oleju kokosowego. W bardzo prymitywny sposób wyciska się tu olej z dojrzałych owoców. Na nasz widok Murzyni przerywają pracę. Dopiero pojawienie się kierowcy rozładowuje atmosferę nieufności. Kapitan Luhański często papierosami, jest to zapłata za pozwolenie zrobienia kilku zdjęć.

Amdi z fasonem podjeżdża przed najważniejszy we wsi Kajah budynek — urząd pocztowy. Wygląda jak stacyjka kolejowa z amerykańskiego westernu. Jedyna murowana w całej wsi chata. Z ciekawości zaglądamy do środka. Pracownik poczty zajęty jest telefonem, pewnie łączy się z Dakarem, no bo gdzie stąd można się dowzwoić? Nad wysokim pulpitem wisi poczenie, jak należy adresować listy.

Pojawienie się naszego samochodu wzbudza zainteresowanie.

— Północ, Północ — słyszysz dość głośne szepty. Odwracam się i skinięciem głowy potwierdzam trafne przypuszczenia. Ale skąd o tym wiesz? To pewnie orzełek na czapce kierowcy spełnił rolę biuletu wizytowego.

Nie chcemy Amdiemu robić przykrości, więc chociaż wykręca nam nosy od najprzeróżniejszych zapachów, którego źródłem są sterty śmieci, niesprzątnięty chyba nigdy gościniec — udajemy, że nie nie czujemy. Ale o pierwszy podlega znacząco nosem, przytakujemy więc. W Kajah — specyficzny za-

paszek wsi murzyńskiej łączy się z niezbyt przyjemną wonią wydzielającą się z gnijących ryb.

Cale życie wsi skupia się przy drodze. Stąd tylko — dosłownie — dwa kroki do salonu fryzjerskiego, krawca, sklepiku. Przy samej drodze siedzą na gołej ziemi mail, czarni uczniowie murzyńskiej szkoły. Nauczyciel przyzwala na fotografowanie swoich wychowanków. Coś do nich mówi, nie rozumiem co, ale domyślam się — po ich zachowaniu, że nic innego, jak — no, uśmiechnijcie się, on wam chce zrobić zdjęcie.

Chaty zbite z desek, tu i ówdzie wzmocnione kawałkami blachy są do siebie bliźniaczo podobne. W drzwiach siedzą matki z dziećmi, mężczyźni zajęci są pracą. Dwóch Murzynów rozłożyło swój warsztat wprost na ulicy. Produkują jakieś kolorowe ozdoby ze skóry. Dalej warsztat krawiecki, też pod gołym niebem.

— To moja żona, a to matka... syn — przedstawia nam całą, swoją rodzinę. Całą? Nie, w domu jest jeszcze czworo dzieci, a niebawem rodzina się jeszcze powiększy.

Następna wycieczka po Dakarze odbyłem pieszo. Wybrałem się do murzyńskiej dzielnicy handlowej. Im głębiej się wchodzi, tym więcej przerażających, wprost szokujących kontrastów z eleganckim śródmieściem, białymi wieżowcami. Handluje się wszystkim — perkalą, kaszą, rybami, sandałami. Turystów zaczepiają natrętni sprzedawcy pseudohebanowych massek. Ceny są bardzo wysokie. Trzeba się targować jeszcze wytrwalej niż w eleganckich sklepach w Las Palmas. Co chwile drogę zachodzą zastępy czyścibutów. Są wyjątkowo natrętni, coś chcą zarobić, chociaż papierosa. Fotografuję uliczne stoisko z pocztówkami i gazetami. Na drugim planie stoi jakiś Murzyn. Patrzy obojętnie wprost w obiektyw. Coś się za tym kryje. Dlaczego nie ucieka na widok aparatu fotograficznego? Nie omyliłem się. Nim zdążyłem przewinąć film, już był i zażądał bakszyszu (zapłata — łapówka). Inny znów — sam mianował się przewodnikiem. I chociaż nie słuchałem tego co do mnie mówił, zresztą i tak bym nie nie zrozumiał — musiałem zapłacić za „usługę” 15 franków.

Senegalki noszą się wyjątkowo barwnie i pstrokato. Na swoje szaty zużywają dziesiątki metrów tafaty, perkalu, ciagna za sobą długie nylonowe szale, obwieszane są bransoletami, łańcuchami — wyglądają, jak nasze odpuście kramarki.

Obok eleganckich, czarnych piękności — zaniedbani, obdarci tragarze, żebracy. Kontrasty są duże. A przed kilkoma laty były jeszcze większe. Od chwili, kiedy była kolonia stała się republiką (1960 r.) i realizuje hasło „Afryka dla Afrykańczyków” Senegalczykom zaczęło się powodzić lepiej. Zajmują stanowiska kiedyś tylko zarezerwowane dla białych, uczą się — czują się gospodarzami własnego kraju.

Tuż po obiedzie rozpoczęto przygotowania do wyjścia w morze. Zmęczeni Dakarem nie możemy się jednak oprzeć pokusie, by nie wyjść na pokład i jeszcze raz popatrzeć na Bramę Czarnej Afryki — port, do którego zawijają wszystkie statki przemierzające południowy Atlantyk, miasto posiadające lotnisko o światowym zasięgu, z którego usług korzystają wszystkie większe linie lotnicze.

Ze strzelistych sylwetek wieżowców przenosimy wzrok na bogatą w tragiczną historię wyspę Gorée. Na tej właśnie wyspie niewolnicy oczekiwali na statki, którymi wieziono ich do obu Ameryk. Dziś na tej ziemi, ziemi czarnej rozpacz, gdzie w lochach poniosły śmierć tysiące wyrwanych siłą z dzungli i sprzedanych za błyskotki i perkal c z a r n y c h l u d z i — rodzi się nowe życie.

(zdjęcia autora)

Program TV w opinii widzów

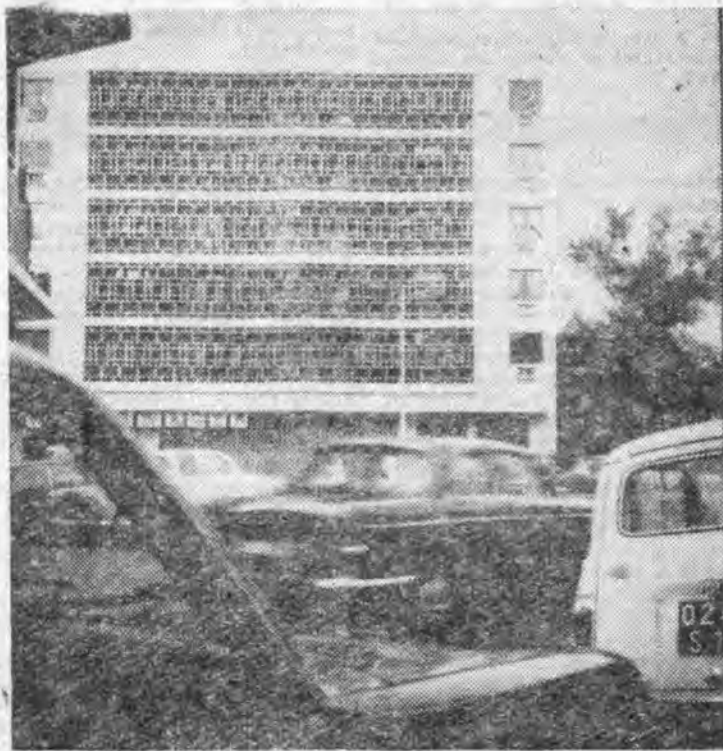
Redakcja Badań Opinii i Łączności z Widzami TV przeprowadziła ostatnio ankietę wśród widzów na temat popularnego magazynu publicystycznego „Refleksje”. Większość odpowiedzi — 71 proc. nadesłała mężczyźni; najliczniej — osoby z wykształceniem średnim. Struktura zawodowa osób uczestniczących w ankiecie — większość pracowników umysłowych — nie jest reprezentatywna dla ogółu widzów. Niemniej jednak podsumowanie ankiety przyniosło ciekawy materiał poznawczy.

Ocena wartości i jakości programu jest wyraźnie zbieżna, z częstotliwością ich oglądania. I tak programy „Światowid”, „Monitor”, reportaże z cyklu „Ludzie i zdarzenia” są oglądane systematycznie. „Gawędy o współczesności”, „Czwarta zmiana”, rzadziej, a nawet przypadkowo.

„Refleksje” jak to wskazują wyniki ankiety nie zdobyły sobie jeszcze dużej popularności. Połowa korespondentów przyznała, że nie ogląda tej pozycji w ogóle. Jedną z przyczyn jest niedogodna pora nadawania programu.

Oglądający „Refleksje” uznali treść i formę tego magazynu za interesującą, zrozumiałą i komunikatywną. Zdaniem widzów program ten uczy krytyczności spojrzenia na naszą rzeczywistość, porusza tematy, które zmuszają do myślenia — zamajają z problemami współczesności, ukazują problemy, którymi wnikliwie interesować się każdy Polak, mają wpływ na kształtowanie osobowości człowieka, wskazują jak postępować w wielu okolicznościach.

(Kł — PAP)



... Smałe konstrukcje wielopiętrowych gmachów, do których budowy nie żalowano stali i szkła...

nas klakson służbowego samochodu W. Stasinowskiego. Wprost spod trapy „Rzeszowa” wyruszyliśmy w najbardziej atrakcyjną — ze wszystkich dotychczasowych podróży. Jej celem była rybacka wieś murzyńska, odległa od Dakaru o 70 km.

Kierowca Amdi Boch, czarny jak smoła Senegalczyk w ciemnym garniturze, białej koszuli, oczywiście obowiązkowo krawat i służ-

wystrój wewnątrz — to bajecznie kolorowe stroje urodziny czarnych urzędników. Dbają o swój wygląd, nie bacząc na wydużającą się kolejkę poprawiają malkijaz.

Amdi — dyplomatyczny kierowca opanował swój zawód do perfekcji. Przez zatłoczone ulice półmilionowej stolicy pędzi prawie przez cały czas osiemdziesiątką. Jedzie ostro, ale gładko i skutecznie hamuje. W Dakarze obowiązują, ba, króluje niepodzielnie za-

Justyna Woś

SEKRET ZACZERNIAKA...

Cicerone „retrospekcyjnej wycieczki” w podrzeszowskiej wiosce opowiedział na wstępie zabawną historię o kręceniu filmu. Napisano scenariusz, pozbierano statystów w regionalne stroje, ustawiono kobiety przy żarnach, mężczyźni przy stępach do tłuczenia pęczaku, ujmowano kamerą sielski krajobraz — cząstkę etnicznej kultury. Po wywołaniu okazało się, że obrazy są bardzo ładne, ale postacie ze swoimi sztucznie przędkimi ruchami, jak z filmu niemego — nadawały całości groteskowy charakter.

To ambitne, a nieudane zamierzenie filmowców-amatorów z Zaczernia może stanowić anegdotalny skrót podobieństwa do wysiłków dziennikarza, który w swej relacji chce zmieścić wizję tej dzisiejszej wioski. Ważne przeobrażenia gospodarcze, kulturalne następowały gwałtowniej i efektywniej w Zaczerniu niż w innych podobnych wsiach — ale dziś sami zaczerniaczy nie są w stanie wskazać na najważniejsze osiągnięcia 25-lecia. Doniosłym momentem był blysk pierwszej żarówki. Kolosalnym udogodnieniem w życiu jest gaz i wodociąg. Chlubna i rozślawiająca Zaczernie praca Wiejskiego Domu Kultury. A może po prostu, jakże potrzebna piekarnia?...

Wszystko równie ważne, wszystko jednakowo użyteczne, użyteczne w życiu współczesnej wsi. Najcenniejsze więc osiągnięcie stanowi synteza, suma uporu i wysiłku zapala i pracy ludzi — od pierwszych dni powojennych.

Padają seryjne pociski artyleryjskie. Od strony lasu coraz częściej strzają. W browarze jeszcze Niemcy. Znowu seria pocisków. Jeden z nich pada na podwórzu zabijając Niemca (...). Ludność mimo strzelaniny wygląda z domów. Niemcy z browaru śpiesznie wyjeżdżają. Dochodzą wiadomości, że w lesie są Sowietci...

(Z kroniki St. Rząsy)

Zaczęły się radosne dni wyzwolenia, ale w tej ogólnej euforii nieodłącznie sekundowały: nieufność i podejrzliwość: „Jaka będzie ta nowa władza?” Znalazła się spora grupka, która sukcesywnie i zdecydowanie inspirowała metamorfozę wsi. J. Bieniek, J. Stopa, J. Skala, St. Porada na czele ze Stanisławem Rząsą — organizują społeczny komitet elektryfikacyjny i już w 1946 roku jedna po drugiej

wielkim światłem biyszcą w Zaczerniu żarówki.

W rok później rozpoczęto parcelację 156,5-hektarowego folwarku Jędrzejowicza.

Czasem celowo niszczone oznaczone granice działek, a rolnicy nie bardzo starali się zabezpieczać, bo stałe straszone, że tak nie zostanie; pan wróci, pan odbierze. Pogłoski te i inne spowodowały, że około 30 proc. rolników rzekło się pola przyjętego z parcelacji. Masowo od dawano akta nadawcze do kancelarii soltysa, który z powrotem nadawał pole gospodarzom namawiając i prosząc o przyjęcie działki. Długo wierzono, że parcelacja jest chwilowa, że kiedyś trzeba będzie nie tylko oddać, ale i ponieść konsekwencje...

(Z kroniki St. Rząsy)

Dla zyskania wotum ufności potrzebny był czas, cierpliwość, perswazje, wiele godzin zebrań, na których wszystkim i każdemu z osobna soltys Stanisław

Rząsa wraz z komisją: St. Dynia, J. Kloc, St. Kloc, J. Proboła, W. Kubas — gwarantowali powodzenie przedsięwzięcia, biorąc na siebie całą odpowiedzialność „zamachu” na pańskie dobra. Najbliższa przyszłość potwierdziła słuszność poczynań tej odważnej grupki. Pan nie wrócił. Można było więc przystąpić do poważnego ustalenia należności i spłat, które rozłożono nobilitowanym właścicielom na 10—20 lat.

Dystans i rezerwa w stosunku do wszystkich przeobrażeń pozostały nadal gdzieś na dnie chłopskiej psychiki, ale dotychczasowe powodzenia podobnych akcji zaczęły cementować podstawę dla nowych inicjatyw. Uruchomiono betoniarnię, cegielnię, stanęła remiza strażacka. W ferworze gospodarczego postępu i pierwszych powojennych potrzeb nie zapomniano o oświacie, wychowaniu i kulturze. Znowu Stanisław Rząsa patronuje społecznemu konwentowi; potrzebne jest przedszkole, istnieje konieczność rozbudowy szkoły, remontu wiejskiego domu kultury, otwarcia stałego kina itd. itd. Potem padła inicjatywa budowy gazociągów i wodociągów.

— Przy każdym z tych zamierzeń — wspomina — długo przekonywało się ludzi, że ich wysiłek przyniesie nie tylko duży korzyść społeczną, ale także indywidualną dla jednostek...

I tu kryje się sekret osiągnięć Zaczernia, wsi słynącej w województwie z wielkich i udanych czynów społecznych. Zaczerniakom nie wystarczył bowiem

powierzany przy takich okazjach truizm „wy dacie złotówkę, państwo druga i coś z tego będzie”. Tu wszystko musiało przejść przez stokrotną kalkulację, obliczenie ekonomicznych korzyści, jakie da w przyszłości wysiłek w społecznym zrywie. Nie odbywało się bez burzliwych, kontrowersyjnych starć na gromadzkich zebraniach, głosów krytyki i aprobaty, zapala i niechęci.

Tak było też w 1960 roku, kiedy powołano społeczny komitet budowy gazociągów i wodociągów. Kłamstwem byłoby powiedzieć, że to dzisiejsze dobrodziejstwo wsi spotkało się wtedy z aplauzem zaczerniaków.

Praca szła ciężko. Opory ludności i brak pieniędzy spowodowały, że komitet zaczął się wykruszać. Pozostali tylko ci, którzy mimo różnych przykrości z tego powodu uparli się tworzyć lepsze warunki życia. Do nich należeli: St. Rząsa, M. Dudek, T. Czekański, K. Srebrniak, W. Furman, J. Porada, F. Baj, St. Czekański, T. Dudek, W. Łuczak, W. Guzek

Oprócz komitetu w późniejszym okresie wybrano jeszcze po dwie osoby na 30 numerów domów w celu organizowania ludzi do pracy i zbierania gotówki. W pierwotnych założeniach przewidywano, że zostaną zgazyfikowane wsie: Zaczernie, Miłocin, Pogwizdów, Rudna Mała, Trzebownisko, Rogoźnica, Wola Cicha oraz Głogów. Zebrania w tej sprawie wykazały, że można liczyć tylko na Zaczernie i Miłocin. Cały ciężar prac spoczął

na tych wsiach, które rozłożyły wydatki na gospodarstwa wog ilości numerów domów...

(Z kroniki St. Rząsy)

Rozpoczętej roboty nie można rzucić — oto jeszcze jedna zasada, przestrzegana we wszystkich społecznych poczynaniach Zaczernia. Z mozołem, ale udało się doprowadzić sprawę do definitywnego zakończenia. Kosztem 2700 000 przy państwowej dotacji ponad 700 tys. zł dotarł gaz do domów Zaczernia i Miłocina — pierwszych wsi powiatu rzeszowskiego. Sukces dopinguwał dalszą akcję budowy wodociągów...

I to wszystko dzisiaj stanowi kulturę życia współczesnego Zaczernia. Z perspektywy ćwierćwiecza wydaje się to prawie sielankowa, pozbawiona konfliktów, niczym niezmacona rozwijająca się idylla Zaczernia. A problemy zawsze się piętrzyły ale równocześnie byli tacy, którzy oddawali wszystkie swe siły aby usunąć przeszkody.

*

Kończył się już dzień, kiedy kończyła się także kilkugodzinna wyprawa w dwudziestopięcioletnią przeszłość Zaczernia. Mój przewodnik w tej peregrinacji pokazał, a raczej wyliczył fakty, które złożyły się na mozaikę wsi. Był „w środku” wszystkich akcji, często pełnił odpowiedzialną funkcję przewodniczącego komitetów, był motorem społecznego działania. To właśnie Stanisławowi Rząsie po tych wszystkich trudnych próbach społeczeństwo powierzyło kierownictwo nad gromadą. Człowiek ruchliwy i trzeźwy w ocenie istoty konfliktów wiejskich — wie, że nawet najsilniejsza indywidualność nie jest w stanie sama działać; ceni pracę kolektywu i dlatego zawsze otoczony był grupą społeczników. Tak jest w każdej dziedzinie życia w Zaczerniu.

Jedną z wielu trosk nie dających spokoju przewodniczącemu jest Wiejski Dom Kultury. Działalność zespołów nie mieści się w ciasnych już murach budynku. Biblioteka, kino i amatorski klub fotograficzny — każde ma ogromny krąg zainteresowanych. Dopóki nie zrealizuje się planu rozbudowy tej placówki kulturalnej, przewodniczący gościnnie otwiera podwoje swojego gabinetu lub sali posiedzeń w GRN na wieczorne próby regionalnego zespołu „Żytnioki”.

Gromadzka rada jest dla niego drugim, a może nawet pierwszym domem. Codzienna praca i obowiązki służbowe, a na dodatek pasje przewodniczącego; szperacza i zbieracza „wszystkiego co stare” — przerosły ramy osobistego hobby. Z okazji 25-lecia PRL uruchomił „Izbę pamiątek” w GRN — efekt długoletniego chodzenia po domach, okolicznych wsiach, gromadzenia starych sprzętów domowych, dokumentów — stanowiących dla współczesnych świadectwo przeszłości, kultury życia jego rodzinnej wioski.



Zespół Teatru Amatorskiego Zakładowego Domu Kultury WSK w Mielcu wystawia komedię A. Fredry „Słuby panienskie” w reżyserii Olgierda Hanusza i scenografii Ireny Perkowskiej. Przedstawienie cieszy się bardzo dużym zainteresowaniem. Już 27 kwietnia oglądać je będą pracownicy WSK. Mieleccy aktorzy-ama-

torzy wystąpią jeszcze kilkakrotnie przed młodzieżą szkolną, a także wystąpią ze „Słubami panienskimi” na kilku scenach w powiecie.

W próbach zespołu teatralnego ZDK WSK Mielec znajduje się sztuka Leona Kruczkowskiego „Odwet”. Będzie to premiera z okazji 25-lecia PRL. (j. w.)

Autor — pisarz, krytyk i publicysta angielski starszego pokolenia. Jest uważany za jednego z nielicznych żyjących jeszcze mistrzów noweli. Bezpretensjonalnym, prostym stylem, z wielką życzliwością dla człowieka i pobłażliwością dla jego słabostek, z lekkim, błyskotliwym dowcipem, przedstawia swoich bohaterów w wywodzących się z różnych środowisk i przeżywających różne konflikty.

Eddy Florentin: KOCIOŁ FALAISE. MON, s. 503, cena zł 35.

Ciekawa książka dotycząca fragmentów bitwy w Normandii, rozegranej między 1 a 22 sierpnia 1944 roku i roli, jaką odegrała tu polska I Dywizja Pancerna. Autor — magister nauk humanistycznych z dyplomem College de France, zbierał do niej materiał przez 11 lat. Znalazł 700 świadków i przeczytał m. in. 65 prac specjalistycznych. Oprócz innych ważnych odznaczeń — z powodu tej książki — odznaczony orderem Polonia Restituta.

Jan Józef Szczepański: POLSKA JESIEŃ. Wyd. 3, Wydawn. Literackie, s. 280, cena zł 20.

Chronologiczny opis, niemal dzień po dniu, kampanii wrześniowej. Oprócz opisów żołnierskiego trudu ostatnich wrześniowych walk, obraz

szalego społeczeństwa w dni tragicznego klęski.

Henryk Panas: CHŁOPIEC Z KARABINEM. MON, s. 255, cena zł 15. Interesująca powieść dla młodzieży o tematyce okupacyjnej. Tematem jej są walki AL na Lubelszczyźnie w roku 1944, m. in. bitwy toczone w Lasach Janowskich i Puszczy Solkiew.

Stefan Lubiec: BRYGADA PUSTYNNA. MON, s. 191, cena zł 10. 9 opowiadań, których tematem autor uczynił losy żołnierzy Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich w czasie walk toczonej w północnej Afryce. Utwory odznaczają się lapidarnością stylu, a zarazem dużą dynamizacją i sugestyjnością.

Ewa Ostrowska: PTAKI NA NIEBIE. Wyd. Łódzkie, s. 137, cena zł 10. 16 miniaturowych opowiadań, w których autorkę interesuje przede wszystkim świat przeżyć dziecka. Trafne obserwacje, niewątpliwie uświadomienie narracyjne.

Włodzimierz Kaczochar: W SŁOŃCU, W DESZCZU. Wyd. Poznańskie, s. 120, cena zł 10.

Autor — krytyk literacki — recenzent prasowy i radiowy debiutuje tu

powieścią, którą oparł na autentycznym wydarzeniu związanym z awarią w zagłębiu konińskim. Ciekawe sylwetki ludzi wielkiej budowy.

Ryszard Dżaman: PORA DESZCZU Iskry, s. 167, cena zł 10.

Debiut książkowy szczyńskiego bibliotekarza. Autor publikował swe prace literackie w prasie i radiu. Niżejjszy tomik 11 opowiadań poświęcony jest tematyce psychologicznej i obyczajowej.

SPOTKANIE. Antologia noweli argentyńskiej. Wybór: Oscar Gamardo. Przeł. Kazimierz Piekarec. PIW, s. 354, cena zł 20. Wybór 18 opowiadań argentyńskich da czytelnikowi pewne minimum wiedzy o literaturze tego kraju. Ich autorzy różnią się wiekiem i przynależnością do różnych kierunków literackich — niektórzy zaliczają się do światowej czołówki pisarzy. Stowo wstępne i krótkie notki biograficzne

Konstanty Grzybowski: RZECZY ODLEGŁE A BLISKIE. KIW, s. 292, cena zł 32.

Są to „Rozmyślenia o historii Polski” — pióra znakomitego historyka. Obejmują niektóre ważniejsze fakty a przede wszystkim problemy od po-

czątków państwa polskiego do lat sześćdziesiątych XIX stulecia.

Dariusz Fikus: POLSKA — PAŃSTWO — GOSPODARKA — SPOŁECZEŃSTWO. Wyd. 2, PWRiL, s. 200, cena zł 8.

Popularny ilustrowany informator o Polsce, jej polityce, gospodarce, prawach i obowiązkach jej obywateli.

KRAKÓW — KIJÓW. Szkice z dziejów stosunków polsko-ukraińskich. Red. A. Podraza. Wyd. Literackie, s. 285, cena zł 30.

5 rozpraw ujmujących dzieje współpracy dwóch narodów do roku 1989. Liczne ilustracje, indeks nazwisk.

Wojciech Giełtyński: NEPAL: STARE I NOWE. KIW, s. 205, cena zł 18.

Mała ilustrowana monografia Nepalu, wydana w serii „Kraje” i ukazująca temat w perspektywie historycznej.

Stanisław Głabiński: NOTATKI Z CHIN. KIW, s. 317, cena zł 25.

Wydarzenia w Chinach związane z tzw. „Wielką Socjalistyczną Rewolucją Kulturalną” zaobserwowane przez przebywającego tam dziennikarza, są tematem tej ciekawej książki. Jest to reportaż z Pekinu w czasie trwania rewolucji.



Oskar Skala: KOMANDO FAŁSZERZY. MON, s. 159, cena zł 10.

Niezwykle ciekawy pamiętnik bylego więźnia obozów koncentracyjnych w Buchenwaldzie i Sachsenhausen. Oprócz opisów przedstawiających prawdziwe życie więźniów, książka zawiera szczegółowe relacje z procesu produkcji fałszywych funtów, podjętych przez hitlerowskich dostojników. Autor, zatrudniony przy tej produkcji, stał się jednym z najbardziej tajemniczych w to przedsięwzięcie.

V. S. Pritchett: W JASKINI LWA. Opowiadania. Przeł. Krystyna Tarnowska. PIW, s. 264, cena zł 20.

Kartki dla Ewy

Słówka

Sztuka konwersacji zanika. Nie mamy czasu na towarzyskie dyskusje, a w przypadku oficjalnych na głos trzeba czekać w kolejce. Czas wypowiedzi, zwykle jest ograniczony, więc człek nieśmiały zapomina języka w gębie, jąka się, ma tremę i plecie trzy po trzy wzbudzając niezamierzenie wesołość widowni. Choć z dwójga zlego lepiej rozśmieszyć ludzi niż ich zafrudzić. Lepiej mówić niewprawnie, chropawo, ale powiedzieć coś wreszcie, niż toczyć gładkie słówka, składane zdania, za którymi się kryją słuszne nawet, ale powszechnie znane oczywistości. Nie potrafimy być na użytek publiczny oszczędni w słowach, treściwi, lapidarni...

Prywatnie zaś? Cóż, podpieramy się ćwiartką, piwkiem, wińskim pędzonym z piątą sorty wrzesniowych ulegalek... wtedy wstępujemy w nas duch Demostenesa i choć język się płacze oddajemy się krasomówstwu.

Ulubionym tematem są marność świata i zły szef, ta świnią Kowalski i jego poplecznicy, stający nam na przeszkodzie do awansu, także tematy damsko-męskie na okrasę i na pociechę. Alkohol rozwiązuje najbardziej mruklawe języki. Plotkujemy z jednakowym zapałem: kobiety i mężczyźni — z tą różnicą, że pięć brzydka traci w takich okazjach wszelką kontrolę nad słowem. Co gorętsze wypowiedzi akcentuje się nieodmiennie znanym słówkiem, określającym starą jak świat, ale niezbyt poważaną profesję, okraszając je terminami fizjologicznymi. Walenie pięścią w stół i pokrzykiwanie starczy za wszelkie precyzyjne argumenty, zastępuje synonimy, metafory i dowcip.

O piękna mowa polska, wielbiona przez mistrzów słowa — czym jesteś na powszedni użytek?

Życie narzuca pewną skrótowość: brak czasu na kwieciste oracje i kształcenie się w retoryce, ale przecież średnio inteligentny człowiek dysponuje zasobem około 3 tysięcy słów... Skąd więc prymat tego jednego, tych kilku...? Skąd ta bezbiedna znajomość knajpianej łaciny?

Kiedyś, w szczenięcych latach ganiono nas za jakże niewinną „cholere”. Wszelkie zoologiczne porównania były niesmaczne, dzisiaj „krase byki”, „wydry” i „krowy” brzmieć mogą niemal jak komplement. Zabkujące niemowlęta szczeniobą o anatomii płci obojga. Zakochany chłopiec szepcze do dziewczyny — „mojaś ty kretynko” — ona rewanzuje się „idiota”.

Wielką popularność zyskało miano debil lub imbecyl. Używa go się w różnych, nieadekwatnych sytuacjach. Mamy więc kochanych, pocziwych, łysych i bosych debili oraz podobnie sklasyfikowanych imbecyli.

Literacka polszczyzna wychodzi z mody. Rzadko przyswajamy nowe słowa, a jeśli nawet mamy je w zapasie, z reguły nie korzystamy. Łatwiej operować stylistycznymi potworkami, na których dźwięk wiedną uszy, lub żywcem transponować obojętne zwroty. Nie chodzi tu oczywiście o nomenklaturę techniczną, dla której brak swojskich określeń, tylko o kwestie i słowa powszednie. Trochę francuskiego, trochę angielskiego, trzy słowa po niemiecku, dwa po rumuńsku, kłacz można każdym językiem po trosze, bo przecież jest się tym poliglota. Tylko słowa ze spółgłoską „r” często bywają dwuznaczne. Widocznie brak powściągliwości w rodzinnej mowie zapaskudza wyobraźnię. Niech świadczy o tym przykład klienta, który ekspedientce powiedział: „ty cynebario!” Obrażona wniosła sprawę o zniesławienie, choć klient na myśli miał florę, nie faunę lub inne, zgola nieprzystojne rzeczy.

BEGA



ZDZISŁAW DARAZ — dyrektor Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Rzeszowie.
Rys. J. SIENKIEWICZ

WIDNOKRĄG
ODPOWIADA

E. J. Sz. — Trzeboś: Nie możemy wyrokować o przydatności do druku Pana utworów na podstawie brzmienia tytułu i określenia gatunku utworów. Może Pan przysłać pod adresem naszej redakcji rękopisy (nie muszą być przepisane na maszynie) a wtedy udzielimy żądanej informacji.

M. M. — Rzeszów: Z opowiadania, niestety, tym razem nie skorzystamy. Jest wyraźnie niedopracowane w konstrukcji i w kształcie stylistycznym. Razi w nim przegadanie i tania, banalna refleksyjność, przesadna obrazowość, niezbyt celne porównania i przenośnie, a przede wszystkim wydumana fabuła. Za dużo w tym wszystkim literackości, za mało prostoty, szczerości i autentyzmu.

„Awga” — Przemyski: W wierszu „Cel życia” czytamy: „Idę przez życie, zdajęm do celu, nie oglądam się na boki ani za siebie tylko przed sobą widzę cel, który zdobędę jeżeli przejdę przez drogę pełną bólu

i szczęścia, łez i uśmiechu”... To, co Pan zapisał w formie słupka wiersza przepisałismy normalnie. Uczyniliśmy to, by przekonać autora, że to zwykła, trochę sentencjonalna proza, że utwór nie ma żadnych cech „mowy więziennej”.

„Początkujący poeta” — Kolbuszowa Dolna: Nie odważylibyśmy się Pana nazwać poetą — nawet początkującym, ale skoro jest takie jego życzenie... W nadesłanym m. in. wierszu „Kogo dręczy udręka” czytamy: „Jeśli chcesz się wyzwolić // z tego przynębnienia // Odwrót się od grzechu // wzbudź nadzieję // i pytaj — którą drogą do nieba”... Może to i budujące, może kogoś uleczy z udręki, ale zapewniamy, iż to nie jest poezja ani nawet jej okolice.

„Tonzi”: Nie wydaje nam się, by Pan był młodzieńcem nad wiek dojrzalszym, jak czytamy w Pańskim liście. Nie widać tego w wierszy, które otrzymaliśmy. To tylko zbiór pokrzykiwań, wezwań i apeli grzeszących niezwykłą wprost naiwnością... „Weź młodzieńcze pióro w rękę // i zapłać wierszem białe karty // Młodzieńcze! nie bądź bezczynnym // nie pozwól młodoci niecieć z siebie... // Młodzieńcze! więcej energii i życia // A zobaczysz świat w różowym kolorze...” itp.

Młodzieńcze — nie tędy droga. Gdy się nie ma nic innego do powiedzenia, trzeba pióro szybko położyć.

nie zróżnicowanych żadnymi granicami. Słowem — „Osiem i pół” Felliniego w polskim wydaniu.

Ale twórca „Mola” nie zaspokaja swych ambicji naśladownictwem samego Felliniego. Jest tu i Bergman „a la polonaise” i Goddard, i cała francuska „nowa fala” sprzed lat dziesięciu, są Wajda i Has, jest nastrój, metafora, detal i zbliżenie, uduchowienie na siłę i oczywiście kilka rynsztokowych słów w dialogach. Dramaturgia? No, z tym już trochę gorzej, tego tu nie ma za wiele, chociaż nie można powiedzieć, że reżyser nie wie, na czym rzecz polega. Pierwsze sceny „Mola”, w których widzimy świat rzeczywisty i prawdziwe życie, dobrze świadczą o jego znajomości dramaturgicznych kanonów. „Molo” wali się dopiero po kilkunastu minutach, kiedy Wojciech Solarz, ufnym w swą moc artysty, zaczyna próbę fascynowania widowni, kiepsko opowiadając zmyśloną przez siebie bajkę psychologiczną i lekceważąc artystyczną logikę na rzecz przebrzmiałej mody, uduchowionego nastroju i stylistycznych popisów różnej wartości. Spekuluje po prostu na naśladownictwach i do nich dorabia wątki. Nie tędy droga!

Odtwórcy głównych ról mają tu szczególnie utrudnione zadanie, muszą bowiem grać zdani na łaskę i niełaskę reżysera, w

którego rękach są bezwzględnie narzędziami. I oczywiście w tych warunkach niczego swym kunsztem nie osiągną — nie wzbudzają w widzu żadnych uczuć poza współczuciem, że tak się męczą.

Jak to się zazwyczaj zdarza przy nieudanych filmach — na placu pozostaje tylko operator. Wiesław Zdort wykonał swą pracę na piątkę z dużym plusem. I jeżeli jest w tym filmie coś godnego uwagi, to właśnie jego zdjęcia, bardzo nastrojowe i pięknie komponowane.

Porażka, jaką poniósł swym debiutem Wojciech Solarz, otworzy mu zapewne oczy na sprawy, których nie dostrzegał w czasie realizacji „Mola”. I nauczy go, miejmy nadzieję, pokory artystycznej, jeżeli będzie mu ona towarzyszyć w czasie pracy nad następnym filmem, to — mając tak dobrze opanowany warsztat, jak to ujawnił w pierwszych scenach „Mola”, może liczyć na pełny sukces. Czego mu serdecznie życzy niżej podpisany.

CZESŁAW MICHAŁSKI

„Molo” — film produkcji polskiej, zrealizowany w zespole „Kadr”, w roku 1968. Scenariusz i reżyseria — Wojciech Solarz. Zdjęcia — Wiesław Zdort. Muzyka — Wojciech Kilar. Wykonawcy: Ryszard Filipiński, Teresa Szmigielówna, Ewa Pokas, Kalina Jedrusik, Tadeusz Kallinowski, Witold Holtz, Andrzej Piszczatowski, Emilia Krakowska i inni.

ZDARZENIA
TYGODNIA

W dniu 21 bm., w sali WDK odbył się kolejny koncert symfoniczny, zorganizowany przez Państwową Filharmonię im. A. Malawskiego dla uczczenia setnej rocznicy śmierci wybitnego kompozytora H. Berlioz.

Orkiestra pod batutą dyrektora Filharmonii w Neubeandenburgu (NRD) Hermanna J. Nellesena, wykonała III Symfonię Brahmsa, uverturę „Karnawał rzymski” H. Berlioz i uverturę „Glocoso” H. J. Nellesena. Solistą koncertu (harfa) był Vladimir Haas, który zaprezentował jedną z rapsodii Peggi Sturata.

W ostatnich dniach obradowała komisja kultury Wojewódzkiej Komisji Zw. Zaw. Zasadniczym tematem posiedzenia była ocena przebiegu i wyników weryfikacji instruktorów artystycznych zespołów amatorskich pionu związkowego. Z przedstawionych pod dyskusję materiałów wynika, że nie wszyscy instruktorzy związkowych zespołów artystycznych otworzyli przewody weryfikacyjne lub nie doprowadzili ich do końca. Stwierdzono, że w związku z tym zachodzi potrzeba przedłużenia terminu akcji, która zgodnie z zaleceniami została już zakończona.

Muzeum Okręgowe w Rzeszowie i Okręgowy Ośrodek Metodyczny (sekcja historii) rozpoczęły realizację interesującego eksperymentu. Odtąd w ostatnim tygodniu w pomieszczeniach Muzeum w oparciu o ekspozycję „Ruch rewolucyjny na Rzeszowszczyźnie”, przeprowadzone zostały 3 lekcje pokazowe VIII klas szkół podstawowych z terenu miasta. Ich tematem było powstanie PPR i jej rola w walce o narodowe i społeczne wyzwolenie.

Zajęcia prowadzone przez zastępcę dyrektora Muzeum, Tadeusza Aksamita, hospitowane były przez 30-osobową grupę nauczycieli historii. Po lekcjach odbyła się dyskusja nad ich przebiegiem tak pod względem metodycznym, jak i dydaktycznym.

Ta nowa forma działalności Muzeum może być z powodzeniem stosowana także w takich dziedzinach jak archeologia, etnografia, kultura materialna, sztuka ludowa, przemysł artystyczny itp.

W ubiegły czwartek zakończył się kolejny cykl szkolnych audycji muzykalnych, zorganizowany przez rzeszowską Filharmonię dla uczczenia przypadającej w tym roku 150 rocznicy urodzin Stanisława Moniuszki.

Wykonawcami arli i pieśni byli Alicja Pągowska — sopran oraz Feliks Gałcki i Lech Jackowski (bas — baryton) — członkowie zespołu warszawskiej Opery Objazdowej. Prelekcje wygłaszała Izabela Pajdak i Klemens Gudel.

W dniu 18 bm. odbyło się posiedzenie wojewódzkiego sztabu imprezy „Karnawał Młodości w 25-lecie Polski Ludowej”. Omówiono stan przygotowań do tej imprezy w związku z ogłoszeniem przez sztab centralny „Dekady gotowości”, która trwa od 20 do 30 marca br.

Przygotowania te w woj. rzeszowskim przebiegają na ogół sprawnie. W zasadzie we wszystkich powiatach powołano sztaby, które odpowiadają za całością akcji. Niestety, żadnych kroków w tej mierze, nie podjęto: Debica, Przemyski i Brzozów. Postanowiono także, że w najbliższym czasie do wszystkich powiatów dotrą pełnomocnicy sztabu wojewódzkiego w celu udzielenia pomocy instruktorów i metodycznej, gdyż już od ferii wiosennych rozpoczyna się I etap „Karnawału”, noszący nazwę: „Witamy wiosnę pracą i zabawą”.

W ubiegły poniedziałek odbyło się w Rzeszowie plenarne posiedzenie Okręgowej Komisji Krajoznawczej. Poświęcone ono było omówieniu udziału szerokiego aktywu PTTK w obchodach 25-lecia PRL.

Zadania te przedstawili w swoim referacie nt. „Tematyka 25-lecia PRL w pracach aktywu PTTK” Br. Cmeia. W pracy tej uwzględnione zostaną: gromadzenie materiałów krajoznawczych, dokumentujących osiągnięcia woj. rzeszowskiego, organizowanie własnych imprez popularizujących te osiągnięcia, włączenie się do realizacji czynu. Wytyczne te będą realizowane przez szeroki aktywny krajoznawczy, który może poszczycić się już wieloma osiągnięciami.

Działający (zaudawie od kilku miesięcy) przy Miejskim Przedsiębiorstwie Budowlanym amatorski zespół teatralny przygotował pod kierownictwem Stefana Mijala sztukę Wl. Perzyskiego pt. „Szczęście Frania”. Próba sceniczną zespół odbył w dniu 15 bm. w sali Spółdzielni „Pokój”. Zostanie ona także zaprezentowana na terenie powiatu mieleckiego.

Wojewódzki Dom Kultury, CFO „Filmos” i Okręgowy Ośrodek Metodyczny w Rzeszowie zorganizowały dla nauczycieli trzydniowy kurs obsługi walców taśmy, mający za cel przygotowanie do pracy z filmem oświatowym.

Na naszym ekranie

„MOLO”

Reżyser debiutujący w filmie fabularnym, jeżeli jest człowiekiem skromnym i nie zamierza swym pierwszym dziełem zdobywać świata, sięga po scenariusz doświadczonego dramaturga, lub po dobrą powieść i próbuje napisać przez kogoś innego słowo, tekst literacki przelożyć na język obrazów. Jeżeli debiutanta rozpieszają ambicje, jeżeli uważa się za kandydata na wielkość — sam pisze scenariusz, by z nikim nie dzielić sławy i próbuje zrobić film, który by ujawniał wszystkie niepokojące artystycznej duszy.

O ile debiutant pierwszego typu rzadko kiedy ponosi porażkę, o tyle drugi rzadko kiedy poznaje smak sukcesu. Pewnie, są tacy w czepek urodzeni, nawet w naszej kinematografii, ale można ich policzyć na palcach jednej ręki. I niestety, reżyser Wojciech Solarz, który nie ujawnił zbyt wiele skromności swym debiutanckim filmem „Molo”, nie powiększył ich skromnego grona. „Molo” bowiem to film równie ambitny, co pretensjonalny i nieudany.

„Molo” jest dramatem — psychologiczną przygodą inżyniera-stoczniciowca (Ryszard Filipiński), który cierpi na kompleks jakiegoś „życiowego spóźnienia”. „Spóźniona przez wojnę matura, spóźnione studia, spóźniona miłość. Spóźnione nawet wodowanie pierwszego statku” — rozmyśla inżynier w czasie bankietu, wydanego przez stocznice z okazji tego wydarzenia. Potem zaczynają się dziać przedziwne rzeczy. Inżynier wraz z żoną (Teresa Szmigielówna) bierze udział w rajdzie samochodowym, gdzie mieszka w stojącej na odludziu na wprost rozwalonej chatce, tam odwiedza go tłum antypatycznych przyjaciół, jest jakaś dziewczyna (Ewa Pokas), z którą inżynier próbuje nawiązać romans, itd. itd. Ale to nie tylko rzeczywistość. Rzeczywistość bowiem przechodzi niepostrzeżenie w majaczenia, teraźniejszość miesza się z przeszłością, strzępy wspomnień zabiegają się o wyobrażenia przyszłości, narracja toczy się na kilku płaszczyznach czasowych,